



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY” (wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnośzeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicą: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpisać przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: Kwestya szkolna. — Droga żelazna Iwangrodzko-Dąbrowska. — Signorina Gioventu Swatopluka Czecha, przekład z czeskiego (dokończenie), p. F. Now. — Cele obecnego ruchu ekonomicznego p. S. Cz. — Znaczenie doświadczeń dla nauki p. R. P. — Piśmiennictwo polskie: Andrzej Frycz Modrzewski, pisarz wieku XVI, jako teolog. Napisał ks. W. Knapieński p. Fr. Olszewskiego. — Literatura zagraniczna: A de Roberty: Socyologia, p. E. C. — Teatr. Występy p. Ładnowskiego. p. S. K. — Muzyka p. S. C. — Historia włościan francuskich II. p. F. O. Wilkońskiego. — W Perspektywie. — Tydzień polityczny p. S. S. — Kronika bieżąca. — Ogłoszenia.

KWESTYA SZKOLNA.

Z każdym rokiem ponawia się w spótygowanej mierze fakt olbrzymiego braku miejsc w gimnazyach, pozbawiający masę młodzieży prawa, które, zdaje się, służyć winno wszystkim członkom społeczeństwa ucywilizowanego. Wobec takich faktów gasną nam przed oczyma blaski wszystkich wielkich „kwestyj,” zajmujących inne kraje, porzucamy rozległe zagadnienia społeczne i ogólnoludzkie, zatapiając całą uwagę w tym czyśto naszym smutku. A smutek to wielki, jeśli poznamy całą grozę ilustrujących go cyfr. Od lat kilku już gazety donoszą, że tłumy młodzieży daremnie pukają do zamkniętych drzwi szkoły, że setki strapiionych rodziców załamują rozpaczliwie ręce nad zwichniętym losem swych dzieci. Rok wszakże obecny podniósł to strapienie do niebywałej wysokości. Poznajmy kilka przykładowo wziętych szczegółów z rezultatu tegorocznego zapisu szkolnego, a one dadzą nam wyobrażenie o tej potrzebie, w imię której dziś przemawiamy.

Zajrzyjmy do gimnazyów warszawskich.

W tak zwanem drugim, klasa wstępna posiadała miejsc wakuujących 38, kandydatów zaś do niej zgłosiło się 140, zatem blisko *cztery razy więcej*. Klasa pierwsza miała miejsc 7, kandydatów zapisało się 96, zatem przeszło *dwanaście razy więcej*. W klasach następnych wcale wakansów nie było, wszyscy więc kandydaci bez wyjątku zostali odpawieni, chociaż wszyscy uczniowie, którzy ukończyli progimnazya na ulicy Żelaznej i Gęsiej, pragnęli wstąpić do jedyne w tych okolicach gimna-

zyum II. Niedosć tego. W roku zeszłym klasa 2 posiadała dwa oddziały. Otóż promowani jej uczniowie, zlawszy się w 3-ej, która posiada jeden tylko oddział, przepełnili określoną dla niej liczbę i skutkiem tego kilkunastu z nich, mimo promocyj, zostanie wydalonych.

Że to nie są stosunki wyjątkowe, poznajmy je w najludniejszym gimnazjum III-ciem.

Gimnazjum to miało wakanse tylko w dwu niższych klasach. Do klasy 1 — przy trzech równoległych oddziałach — na 31 miejsc zgłosiło się 137 kandydatów, t. j. przeszło *sześć razy więcej*. Do klasy 2 — przy tyluż oddziałach — na 8 wakansów stanęło do egzaminu 38 kandydatów, t. j. blisko *pięć razy więcej*. Klasy 3, 4 i 5 mimo dwu oddziałów w każdej są zapełnione. W klasie 6 powtórzył się fakt, zaznaczony wyżej w gimnazjum II, mianowicie uczniowie promowani przewyższyli komplet dla tego liczba ich nadmierna (około 15) musi być usunięta.

Wnioski z tych cyfr są tak proste, że zaledwie potrzebujemy pomagać czytelnikowi do ich wyciągnięcia. Uwzględniwszy to, iż skutkiem ograniczonej ilości wakansów lub zupełnego ich braku, wielu kandydatów wcale się nie zgłasza i ich ogólnej sumy ściśle poznać nie daje, z zupełnem prawdopodobieństwem przypuścić można, że społeczeństwo nasze dla wykształcenia swych dzieci potrzebuje co najmniej pięć razy więcej miejsc w gimnazyach, aniżeli ich obecnie posiada. Litość bierze patrzeć na zrozpaczonych rodziców, na biednych chłopców, którzy przy egzaminach składają zdumiewające dowody przygotowania i nie mogą całym wysiłkiem zdobyć kawałka ławki dla pobierania nauki. Często znajdują się oni w położeniu bez wyjścia. Bo chociaż który z nich wykaże należyte uzdolnienie do klasy 3 i poprzestałby na

prawie wstąpienia do 1, to znowu wiele nie pozwala mu skorzystać nawet z tego przywileju. Ileż to razy przepadają lub tamują się w rozwoju dzielne umysły, ileż razy zmarnieć muszą z trudem zdobyte środki! Chętne do pracy i zdolne do nauki dziecko łamie sobie życie, ubodzy rodzice tracą pokładane w niem nadzieje — bo w szkole niema miejsca. W szkole niema miejsca — dumne z siebie i zasmucone swą dolą musi być społeczeństwo, które to osobie powiedzieć może. Wątpimy, czy jest drugie w Europie, które szczyciłoby się taką dumą i trapiło takim smutkiem. Podczas gdy wszędzie szkoła nęci uczniów, u nas uczniowie żebrzą pod jej zamkniętymi drzwiami.

To jest los nowowstępujących; co powiedzieć o tych, którzy w środku swej edukacji mają nieszczęście stworzyć nadmiar w klasie i muszą ją opuścić? Co rzec o wychowancach progimnazyów, którzy z najlepszymi świadectwami nie mogą posunąć się dalej, bo miejsc w wyższych klasach gimnazyów niema? Wystawmy sobie wreszcie położenie ucznia, który przeszedł klasy niższe i nagle, pomimo promocyi do wyższej zostaje z niej wydalony i skazany na tułaczkę, często bez nadziei pomyślnego jej zakończenia. Są to wszystko zjawiska tak smutne, tak nadzwyczajne, że doprawdy nie wiadomo, czy nad nimi płakać, czy im się dziwić należy.

Tworzenie tak zwanych oddziałów równoległych przekonało dowodnie, że niedostatku nie dźwignie. Potrzeba szkół nowych. Czy brak na to funduszków? 30 rs. wpisu, dochody gimnazyów z opłat szkolnych, dochodzące do 15,000 rs. rocznie, stanowią aż nadto obfite źródło utrzymania dla gimnazyów. Czy brak nauczycieli? A ileż to ludzi specjalnie do tego powodu ukształconych tuła się dziś bez zajęcia lub marnieje w najprzeróżniejszych biurach.

Z samych tych pedagogów, którzy dziś dla kawałka chleba układają przyzmy szabru na szosach, trudnią się guwernerką lub aplikacją na kolejach żelaznych, można by złożyć poważny zastęp nauczycieli. Wtedy od razu rozwiązałyby się dwie kwestie: kwestya braku miejsc dla uczniów i dla nauczycieli. Dopóki to nie nastąpi, nędza umysłowa jednych, w skojarzeniu z nędzą materialną drugich, rzucać będzie na szkolnictwo nasze ten cień, który w państwie ucywilizowanym padać nie powinien. Tysiące młodzieży skazywanych corocznie na przymusowe nieukształcenie — już nieco oswoił się z tym faktem, ajednakże jest to fakt niemal tragiczny. Słyszeliśmy o słabych usiłowaniach zmniejszenia jego rozmiarów; czy jednak te dobre, zapóźno odczute chęci, zaradzą złemu! Dwudziestu, wreszcie stu uczniów zyska możność kształcenia się — a co robi reszta? Ha, następcą nam będzie tematy do gorzkich żalów, artykułów, t. j.... daremnego wołania na puszczy.

DROGA ŻELAZNA IWANGRODZKO-DĄBROWSKA.

Oddawna zapowiadana i oczekiwana droga żelazna Iwangrodzko-dąbrowska przeszła już nareszcie w sferę rzeczywistości i wkrótce powiększy długość sieci kolejowej w Królestwie Polskiem. A powiększy ją znacznie, bo do 1,438 wiorst, istniejących od r. 1877 t. j. od oddania na użytek publiczny drogi Nadwiślańskiej — doda wiorst 421 t. j. około 30% dotychczasowej długości sieci. Nowa droga składać się będzie z dwu linii, przecinających się w Bzinie — wsi położonej w pow. korzeckim i posiadającej zakłady górnicze żelazne. Jedną z tych linii przetnie gubernia Radomska, idąc od Iwangrodu (Dębina) stacyi dr. żel. Nadwiślańskiej, oraz odnogi łukowskiej łączącej dr. Nadwiślańską z Terespolską do Dąbrowy, stacyi kolei Warsz.-Wiedeńskiej i punktu środkowego kopalni węgla w kraju, długość jej wynosić będzie wiorst 266½. Druga linia, długa wiorst 154½, iść będzie od Koluszek, stacyi dr. żel. Warsz.-Wiedeńskiej i Fabryczno-Łódzkiej, do Boduchowa wsi w pow. opatowskim, położonej

o 5 wiorst od Ostrowca, w okolicy lesistej i obfitującej w zakłady górnicze żelazne.

Projekt drogi żelaznej fabryczno-górniczej w Królestwie Polskiem podniesiony został jeszcze w r. 1856. Budowy jej podjąć się miało towarzystwo francuskie, które zarazem chciało wydzierżawić wszystkie zakłady żelazne w Królestwie; kierunek proponowano od Piotrkowa do Sandomierza. Projekt podnoszony był następnie jeszcze w r. 1860 i 1862. W r. 1867 bankier Bloch rozpoczął na nowo staranie o budowę tej drogi, lecz już ze zmienionym kierunkiem, a mianowicie od Piotrkowa przez Szydłowiec do Ostrowca. W tych staraniach przyjęli udział w r. 1868: mr. Z. Wielopolski, oraz bankierzy: Frenkel, Władysław i Antoni Lascey, M. Epstein i J. Wertheim. Potem kierunek drogi uległ zmianie, tak że miała ona iść od Koluszek do Lublina z odnogą do Sandomierza.

W r. 1872 minister komunikacji wniósł do komitetu ministrów projekt budowy 1,370 wiorst nowych dróg żelaznych w Królestwie Polskiem, z których 604 na prawym brzegu Wisły (w tem 502 wiorsty istniejącej już obecnie dr. Nadwiślańskiej z odnogą z Iwangrodu do Łukowa) i 738 wiorst na lewym brzegu Wisły. W skład tych ostatnich wchodziły: droga żelazna od Iwangrodu do Krakowa z odnogą do Dąbrowy, z Józefowa (nad Wisłą) przez zakłady górnicze do Koluszek, z Łodzi do Kalisza, z Kutna do Słupca, i z Sieradza do Wieruszowa. Budowę jednak dróg na lewym brzegu Wisły uznano wtedy za przedwczesną ze względów strategicznych, tak że dopiero w roku bieżącym dwie z nich pod ogólną nazwą drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej doczekały się zatwierdzenia, z pewną resztą zmianą w kierunku.

Kandydatów do otrzymania koncesyi na nowo zatwierdzoną drogę było niemało, bo aż 19. Z tych jednak trzy tylko oferty wzięto szczegółowiej pod uwagę, a mianowicie: 1) konsorecyum, które ostatecznie się utrzymało; 2) towarzystwo kolei Warsz.-Wiedeńskiej i 3) grupę finansistów francuskich, reprezentowaną przez p. Plemiannikowa. Ci ostatni podejmowali się budowy i eksploatacyi drogi bez gwarancyi rządowej, ale żądali też zupełnej swobody w ustanowieniu kapitału zakładowego i wypuszczeniu obligacyi, co sprzeciwia się normalnym ustawom dróg żelaznych rosyjskich. Kolej Warszawsko-Wiedeńska podała najpożądane warunki; przyjmowała na siebie gwarancję rządową dla dróg Warszawsko-Bydgoskiej i Łódzkiej, oraz udział w gwarancyi nowej drogi. Dogodne warunki, proponowane przez towarzystwo drogi Warsz.-Wiedeńskiej, tłómaczą się tem, że nowa kolej, a mianowicie główna

jej linia od Dąbrowy do Iwangrodu, stanowić będzie tór konkurencyjny dla W. Wiedeńskiej i odbije jej część transportów. Trzeci wreszcie konkurent, konsorecyum margr. Wielopolskiego i Blocha, nie dając żadnych ustępstw szczególnych, trzymało się mniej więcej zwykle praktykowanych warunków t. j. żądało absolutnej gwarancyi rządowej zarówno dla akcyi, jak i dla obligacyi. Konsorecyum to składają ostatecznie: Zygmunt Wielopolski, Tomasz Zamojski, Stanisław Karski, August Ostrowski, Władysław Lascey, Karol Szajbler, Wilhelm Rau, Leon Loewenstein, Jan Bloch i Leon Goldszand.

Nie wiemy, jakie powody skłoniły władzę do oddania pierwszeństwa ostatniemu z wyżej przytoczonych konkurentów. Co do nas, to wychodząc ze stanowiska dobra ogólnego, wybór ten uważamy w każdym razie za szczęśliwy. Przedewszystkiem cieszyć nas winno, że w skład zatwierdzonego towarzystwa weszły wyłącznie osobistości miejscowe, po których mamy wszelkie prawo spodziewać się, że użyją do budowy i eksploatacyi kapitałów *a przedewszystkiem* sił krajowych. Między koncesyonaryuszami spotykamy z jednej strony osoby, specjalnie obeznane ze sprawą kolejową i dające rękojmię umiejętnego prowadzenia interesów, z drugiej nazwiska ludzi, zapowiadających, że nadzieja zysków nie będzie jedyną pobudką ich działania i że znajdując dogodną lokację dla swych kapitałów, będą mieli jednocześnie na uwadze dobro kraju i podniesienie jego stanu ekonomicznego. Jest to jeden z najważniejszych względów, które każą nam sympatycznie spoglądać na nowe towarzystwo. Droga Iwangrodzko-Dąbrowska jest, rzecz można, pierwszą u nas koleją konkurencyjną, a wiadomo, że w stosunkach współzawodnictwa, zwłaszcza zaś na drogach żelaznych, przedewszystkiem potrzebna jest ta rękojmia moralna osób kierujących przedsiębiorstwem, że nie dadzą się one porwać za daleko, bez przebijania w środkach, lecz utrzymują się w granicach, jakie im dobrze rozumiany i na przyszłość obliczony interes własny i ogólny nakreśli.

Konkurencya, jaką nowa droga, i oddanie jej nowemu zupełnie towarzystwu w dziedzinę nowych stosunków kolejowych wprowadza, jest równie faktem pomyślnym. We wszystkich ważniejszych państwach drogi żelazne miały swą epokę walki, która niemało przyczyniała się do rozwoju i udoskonalenia dróg żelaznych. Wprawdzie w wielu miejscach konkurencya ta przebrała miarę i doprowadziła do zaciętego wyścigu, podkopującego wszelkie racjonalne warunki gospodarstwa kolejowego i doprowadzającego do ruiny drogi że-

2)

Signorina Gioventu

przez
Swatopluka Czecha.

W niemyim zachwycie przez chwilkę patrzył kancelista na uroczyste zjawisko.

W końcu zapytał: Kto jesteś, śliczna istoto?

Jakto, nie znasz mnie? — odparła srebrnym głosikiem i zdjęła różową maseczkę.

Dolna połowa twarzy, acz bardzo piękna, przyćmioną teraz została wspaniałością pogodnego czoła i blaskiem wielkich czarnych jak noc oczu, iskrzących się wesołością dziecięcą.

Kancelista zdało się teraz, że widział już gdzieś tę uśmiechniętą, pełną uroku twarzyczkę, jeśli nie na jawie, to w marzeniu

sennem... Mileząc, pałającem okiem patrzył na nią.

Co, nie poznajesz mnie jeszcze? — mówiła dalej. Przecież to ja byłem towarzyszką pierwszych lat twego życia. W kolebce kołysałam cię, usypiałam piosenką i baśnią, wskazywałam ci księżyc w oknie, a tyś usiłował pochwycić go swą pulchną rączką... Jednak zapomniałeś już o tem!... Powiedz mi, gdzieś był później? Gdzieś się obracał, gdy ja w zielonym gaju pierwiosnki zbierałam, kukulki wołałam, szmeru potoku słuchałam, za skowronkami goniłam wzrokiem w nieba błękity? Coś porabiał, gdy czekałam cię za wsią w parowie wśród polnych róż? Gdzieś strawił lata chłopięce?

— Siedziałem po osiem godzin dziennie w dusznym pokoju nad poszarpaną książką, liczyłem zmarszczki na twarzy starego nauczyciela i drżałem przed jego łaską trzciniową — odrzekł z westchnieniem kancelista.

— A pewnego razu wsadzili cię na wóz, dali ci obwarzanek i krzyżyk na drogę i zawieźli do wielkiego miasta. Ja odprowadzałam cię. Siedzieliśmy razem w głębi

wozu, pod dziurawą płachtą i patrzyliśmy na gwiazdeczki, spoglądające na nas z poza pleców barczystego woźnicy. Lecz potem zniknąłeś, zapadłeś się w nawpół opustoszałym domostwie. Szukałam cię na ulicach wśród tłumów, krążących po nich gwarnie i wesoło, czekałam na ciebie w cieńnię ogrodów zamiejskich, stawałam nad rzeką, wsparta na wiosle, sądząc, że siądziesz ze mną do lekkiego czołna, pod żaglem rozpiętym, i że polecimy daleko, daleko po błyszczącej tafli wód, między kwieciściami brzegami... Lecz tyś nie przychodził! Później bywałam w wesołych towarzystwach, na hucznych balach, na koniu jeździłam po stepie, lecz o tobie ani widu, ani slychu. Gdzieś strawił swe młodociane lata?

— Siedziałem w dusznej sali nad poszarpaną książką, liczyłem zmarszczki na twarzy starego profesora i bałem się jego notesu.

— A teraz?

— Siedzę w dusznej kancelarji, piszę od rana do wieczora i chodzę czasem na wykonanie wyroków — odrzekł kancelista i głowę zwiesił smutnie na piersi.

łazne a sprawę komunikacji do zupełnego chaosu. My tego obawiać się nie potrzebujemy, naprzód dla tego, że współzawodnictwo nowej drogi z dawnymi a mianowicie z Warsz.-Wiedeńską, w skutek kierunku obu dróg, nie może być zbyt wielkiem, powtórę, że nasze zarządy kolejowe mają już przed oczyma smutne przykłady zapasów u obcych, oraz zwrotu tychże do racjonalniejszych zasad polityki taryfowej.

Nie ulega wątpliwości, że nowa kolej odbierze drodze Warsz.-Wiedeńskiej część jej transportów, tych mianowicie, które od południowej granicy Królestwa iść będą na drogi prawego brzegu Wisły. Sądzymy jednak, że strata nie okaże się tak wielką, jakby się na pozór zdawało, że droga Iwangrodzko-Dąbrowska zasilac się będzie zwłaszcza w kierunku ku Wiśle raczej nowo wytworzonymi przez nią transportami, aniżeli odebranymi. Weźmy tylko pod uwagę węgiel krajowy, główny artykuł przewozu i źródło dochodu drogi Wiedeńskiej. W r. 1880 przewieziono po tej drodze pudów 77,321,953, za co otrzymano dochodu rubli 3,014,612 kop. 70. Z tej ogólnej cyfry przypada 54,501,253 pudów i 2,133,063 rubli 61 kop. na komunikacje wewnętrzne i z drogą Bydgoską, t. j. na transporty, które stanowią pozostaną przy drodze Wiedeńskiej. Podobnie rzecz się ma z transportem 841,011 pudów, które przeszły na drogę Warszawsko-Petersburską i dały dochodu 36,610 rubli 72 kop. Pewne wątpliwości mogą przedstawiać transporty znaczne na drogę Łódzką, które wyniosły 17,392,795 pudów z dochodem rs. 636,251 kop. 69, lecz i tu obawa nie może być zbyt wielką, jeżeli uwzględnimy znaczną różnicę w długości, po jakiej towar z Dąbrowy do Koluszek jedną a drugą drogą przebiegać musi. Odległość Dąbrowy od Koluszek po drodze Wiedeńskiej wynosi wiorst 182 $\frac{1}{4}$ t. j. tyle prawie co odległość z Bzina do Dąbrowy (w. 181 $\frac{1}{2}$). Kolej zatem Wiedeńska będzie miała przewagę o całą prawie odległość z Bzina do Koluszek. Za stanowczo więc stracone dla dr. Warsz.-Wiedeńskiej uważać można tylko: węgiel idący na drogi: Nadwiślańską i Terespolską, oraz dolne, jak Moskiewsko-Brzeską i Kijowsko-Brzeską. Przewóz zaś ten w roku 1880 wyniósł zaledwie 4,586,894 pudów t. j. około 6^o ogólnej sumy przewiezionego węgla i przyniósł dochodu rs. 208,786 kop. 68 czyli niecałe 7^o dochodu z tego źródła. Jeżeli zatem droga Iwangrodzko-Dąbrowska może liczyć na znaczne transporty węgla, to nie tyle przez odebranie go drodze Wiedeńskiej, lecz przez wytworzenie nowego dlań zbytu w Cesarstwie z powodu ułatwienia komunikacji.

Cyfry powyższe, dotyczące przewozu wę-

gla podaliśmy jedynie dlatego, ażeby dowieść, że nowa droga i oddanie jej nowemu towarzystwu nie może podkopać istniejących, wywołać zbyt wygórowanej konkurencji, skoro prawie nie dotknie głównego artykułu jej przewozu. Wprawdzie w innych przedmiotach, np. w zbożu, różnica będzie bezporównania większa, lecz zato droga Wiedeńska zyska nowe transporty, które mi zasilac ją będzie prostopadła do niej linia Bodzechów-Koluszek. Słowem, warunki naturalne obu dróg kazały wnosic, że konkurencja między niemi dobre tylko dla gospodarstwa krajowego spowoduje następstwa, bez złych jej stron.

Jako jedyny zatem powód, któryby w oczach bezstronnego spostrzegacza mógł przy oddaniu koncesji na nową drogę dac pierwszeństwo innemu konkurentowi t. j. towarzystwu drogi Wiedeńskiej nad nowo utworzonym konsorcjum, występuje kwestya gwarancji rządowej. Ze stanowiska fiskalnego nie może być nawet mowy o porównaniu pod tym względem obu konkurentów. Nowe towarzystwo żądało bezwzględnej gwarancji rządu, droga Wiedeńska nietylko na siebie jej część, ale nadto przejmowała całą gwarancję drogi Bydgoskiej i Fabryczno-Łódzkiej. Jeżeli jednak zgodzimy się, że cele fiskalne nie są jedynym miernikiem działania władzy państwowej wogóle, a budowy dróg żelaznych w szczególe, to przewaga na korzyść strony dającej dogodniejsze warunki finansowe nie będzie tak wielką, wobec ważnych korzyści przemawiających za stroną przeciwną. Jeżeli nowa droga ma naturalne warunki pomyślnego rozwoju, to nie potrzebujemy obawiać się gwarancji, która będzie tylko martwą literą. Jeżeli przeciwnie, istnienie drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej bez zewnętrznego zasilku nie jest możliwe, to i w jednym i drugim razie musi się znaleźć źródło tego zasilku i to źródło z funduszy ogółu. Rząd, placąc gwarantowany dochód, czerpie dopłatę z ogólnych dochodów państwowych; towarzystwo, któreby rzekło się gwarancji, ściągłoby ją od publiczności wskutek podniesienia opłat przewozowych, zarówno na jednej jak i na drugiej drodze, ku czemu monopol jednego towarzystwa dałby wszelką możność. Drugi zaś ten sposób pokrycia niedoborów z eksploatacji ma tę złą stronę, że obciąża głównie jedną okolicę i szkodzi rozwojowi jej przemysłu, co znów wprost jest przeciwnie zadaniem rządu, który powinien popierać rozwój miejscowych sił ekonomicznych i to nawet środkami ogólnymi. Jeżeli tyle okolic w państwie korzysta z dróg żelaznych gwarantowanych, i podnosi swój stan ekonomiczny przy pomocy całości państwa, dla-

czegożby ta, w której przebiegać będzie kolej Iwangrodzko-Dąbrowska i Warszawsko-Wiedeńska, poparcia tego miała być pozbawiona?

Że zaś okolica ta więcej od znacznej ilości innych zasługuje na opiekę, jest, zdaje się, rzeczą bezsporną. Dlatego też ze wszystkich linii nowych dróg żelaznych, projektowanych ostatnimi czasy w Królestwie Polskiem, droga Iwangrodzko-Dąbrowska największe ma znaczenie pod względem ekonomicznym. Przechodzi ona przez okolice górnicze, jedyne u nas, a jest rzeczą pewną, że rozwój żadnego rodzaju przemysłu nie jest w tak wysokim stopniu zależny od środków komunikacji, jak górnictwo. W kopalniach najprzód znalazły zastosowanie drogi żelazne, a dziś nigdzie przemysł górniczy bez kolei postępować nie może. Według obliczeń warszawskiej podkomisyj, ustanowionej do rewizji dróg żelaznych, produkcya węgla Dąbrowskiego wzrosłaby znacznie, gdyby ułatwiony został jego przewóz w głąb Cesarstwa. Mógłby on być używany na wszystkich drogach Królestwa; a także na kolejach W. Petersburskiej do Dynaburga, na Brzesko-Grajewskiej, częściowo na Moskiewsko-Brzeskiej i Brzesko-Kijowskiej. Następnie, i to najważniejsze, nowa droga podniesie przemysł żelazny, którego doniosłość obecnie, właśnie dla braku kolei, bardzo jest niewielka. Skorzystają na niej również kopalnie marmuru około Chęcina, i miedzi koło Kiele; podobno nawet już obecnie towarzystwo francuskie robi starania o eksploatację tego ostatniego kruszcza. Wreszcie częścią swą choć nieznaczną, około Jędrzejowa i Gniewęcina, nowa droga przejdzie przez okolicę urodzajną i od wszelkiej komunikacji kolejowej bardzo oddaloną.

Z tych wszystkich powodów uważamy za potwierdzenie drogi Iwangrodzko-Dąbrowskiej za fakt niezmiernie ważny dla naszego gospodarstwa krajowego, a oddanie jej nowemu konsorcjum za rzecz pomyślną. Nie posuwamy się zresztą w tym ostatnim względzie za daleko; nie uważamy bynajmniej, jak to dało się tu i owdzie słyszeć, ażeby sam fakt starania się i uzyskania koncesji dał komukolwiek tytuł do publicznych hołdów i wdzięczności. My w fakcie tym widzimy tylko dążenie do wzięcia w swoje ręce przedsiębiorstwa, przedstawiającego pole do korzystnego użycia kapitału. Co najwyżej możemy mieć nadzieję, że wybrane konsorcjum z większym od innego pożytkiem dla ogółu rzecz przeprowadzi, lecz jest to tylko nadzieja, przypuszczenie, które zarówno dopisać jak i zawiesić mogą. Zawczasem więc przesądzać fakty i uznawać zasługę tam, gdzie jej jeszcze niema, a zresztą w opiewanym stopniu

— Lecz co zamierzasz czynić dalej? zapytała dziewica, zatapiając w nim czarowne źrenice.

Kancelista patrzył na nią przez chwilę wzrokiem namiętnym; nagle ukląkł przed nią, ramiona wyciągnął i zawołał z zapalem: kochać cię!!!

W mgnieniu oka rozwinął się wzorzysty wachlarz w ręku czarodziejki i zasłonił przed nim jej śliczną twarzyczkę.

Na wachlarzu tym ukazał się obraz rozkosznej krainy, wykonany tak wybornie, że zupełnie podobnym był do rzeczywistości, przewyższając ją jednak łagodnością i wdziękiem swych barw. Rozrzucone grupy drzew tak plastycznie występowały z obrazu, że prawie można było słyszeć szum ich rozłożystych koron i szelest trzęsących się liści; u stóp ich drżała rosa na listkach trawy i w nawpół otwartych kielichach pierwiosnków; przez gładkie różnokolorowe kamyczki skakał potok do parowu. Festony mgły porannej zawisły na jodle i brzoście, opasując ściany fantastycznych skał, a w oddali zwolna wznosiła się nad widnokrąg pałaca tarczy słoneczna...

W zachwycie spoglądał kancelista na tę piękną krainę; zdało się mu, że perłowy rąbek wachlarza tworzy fantastyczne wrota do niej, i że zachwycająca dziewica o różowej maseczce miłośnie wyciąga doń z obrazu ramiona, a on wstępuje tam i śpieszy w upojeniu w jej objęcia, pod cień tych drzew, owiany wonią tych kwiatów, obłany promieniami wschodzącego słońca...

Bęc! — poczuł lekkie uderzenie po ramieniu. Przyszedł do siebie i ujrzał się w grocie: przed nim stało dziewczę, klepiąc go po ramieniu złożonym wachlarzem, i mówiło z uśmiechem: Mnie kochać? — Ach, już zapóźno, mój drogi! Nie zdasz się już na ognistego kochanka. Nie jesteś już przystojny: ciało twe nie ma hartu i siły, dusza świeżości, głos dźwięku, oczy twe — zamglone, zagasłe, a włosy przerzedzają się. Nie, nie jesteś już do kochania! A spojrz tylko! ja, młodość twoja, nie jestem już piękną rzeczywistością: jam czezy sen — myśl człowieka, który w noc zapustną zapomni o straconej młodości swej i zawiesił mi tę oto lżę u czoła, a na całym ciele błyskotki swej zwierzęcej wyobraźni; je-

stem maska — nic więcej. Signorina Gioventu, panie, signorina Gioventu. Addio!

Skłoniła mu się figlarnie i, poskoczywszy jak sarna, znikła w pstrym tłumie masek.

Jak szalony, rzucił się kancelista za nią. Jedna myśl przejmowała nawskróś jego duszę: Muszę ją mieć! Bez niej żyć nie mogę!

Jak wściekły biegł wśród masek. Lecz napróżno rozognionym wzrokiem szukał między niemi signoriny Gioventu. Obfite krople potu występowały mu na czoło.

Sięgnął do zanadru; wspinała sakiewka błysnęła mu w rękę. Rozsunał ją i wyjął garsń banknotów. Weźcie wszystko! — wołał do otaczających. Tylko wróćcie mi ją, wróćcie mi signorinę Gioventu!

— Patrzcie co za błazen — wołano — za pieniądze chce kupić sobie młodość!

Wściekłość w nim wzrosła. Sięgnął do boku, gdzie w wspaniałej pochwie wisiał pałasz olbrzymi. Wyciągnął go i machnął nim nad rojem szyderczo, ironicznie śmiejących się masek.

Łuczniejszy niż poprzednio śmiech zatrząsał salą. Tysiące palcy wyciągnęły się

być nie może. Cieszymy się więc nadzieją i czekajmy.

CELE OBECNEGO RUCHU EKONOMICZNEGO.

I.

W jednym z pierwszorzędných przeglądów niemieckich (*Unsere Zeit*) napotyka my pod powyższym napisem gruntowną pracę p. Adolfa Samtera, której treść zajmie czytelników *Prawdy*.

Cele działalności ekonomicznej są przedmiotem nader wielkiej różnorodności zdań. Niedawnymi czasy jeszcze za cel gospodarstwa społecznego uważano jedynie wytwarzanie bogactwa; dziś nawet jeszcze znajdziemy wielu wyznawców tego przekonania. Wiemy już jednak, że nie bogactwa są podstawowym przedmiotem i celem gospodarstwa społecznego, ale sam ich gospodarz — człowiek; tak iż w sprawach ekonomicznych teraz bogactwo stoi na planie dalszym, człowiek zaś, wytwórca, pracownik — na pierwszym.

Zadaniem i celem przeto gospodarstwa społecznego jest zapewnienie jednostkom możliwości zaspokojenia ich potrzeb, odpowiednio do ich działalności i stanowiska oraz do warunków kultury danego czasu.

Stopień owej możliwości zależy przede wszystkim od działalności osobnika i usług, jakie ona oddaje społeczeństwu. Dochód, za pomocą którego nabywa przedmioty niezbędne, musi otrzymywać przez pracę. Ona więc jest przyrodzonym punktem wyjścia dla zaspokajania potrzeb i czynnego dla nich gospodarstwa społecznego.

Praca jednak nie jest jedynym źródłem dochodu; obok niej staje własność, znajdująca w tem swe uzasadnienie, że jest niezbędną dla wytwarzania środków zadowolenia. Bez własności nie jest ona w stanie wytwarzać. Niektóre jednostki mogą wprawdzie zdobywać sobie samą pracę potrzebną dochód, ale jedynie przy pomocy innych, własność posiadających.

Własność przytem nietylko, jako czynnik gospodarstwa, jest niezbędną; stanowi dźwignię dziejową kultury. Ludzie muszą i powinni pracować, ale społeczeństwo nie potrzebuje być koniecznie domem robotczym. Kultura umożliwiona jest tylko wtedy, gdy pojedynczy mogą wyzwolić się od ciężarów pracy.

Źródłami przeto dochodu są praca i własność. Pomiędzy jednak pracą i własnością

nie może być nieprzebytej przepaści i dochody ich winny być odpowiednio ustosunkowane.

Nie dosyć jednak, aby prawo w zasadzie zniosło przedział pomiędzy pracą i własnością, musi prócz tego istnieć faktycznie odpowiedni ustroj społeczny. Wtedy bowiem tylko, gdy każdy pracujący może przez pilność, energię i oszczędność dojść do własności i gdy ta daje dochód odpowiedni bez uciemiężenia pracowników, wtedy ona jest korzyścią społeczną a nie przywilejem.

Dochody z pracy i własności mogą być bardzo rozmaite; ludzie bowiem tak fizycznie jak i duchowo przedstawiają wielką różnorodność. Jedni żyją wśród okoliczności pomyślnych i ożywczych, drudzy trudnych i uciążliwych. Wszystko to oddziałuje na wysokość dochodów i wywołuje wielkie jednostkowe różnice. W interesie społeczeństwa należy niesienie pomocy upadającym pod ciężarem stosunków i starania o ciągłą ich równowagę. Przeciętny dochód z pracy i własności nie może nigdy przedstawiać zbyt wysokich różnic, jeżeli podstawy społeczne mają być utrzymane w całej sile.

Nietylko jednak stosunek dochodu z pracy i z własności powinien być w równowadze, niemniej także zaspokojenie potrzeb ogółu powinno być odpowiednie stanowi kultury w danym czasie. Braki i anormalności w tym względzie zwykle zbywane są tem, że masom ludowym było dawniej gorzej i że więcej wymagać obecnie nie powinny. Jest to pogląd najniesłuszniejszy; ludzkość bowiem ciągle postępuje i dąży do ulepszeń; przeszłość nie może być miarą bezwzględnej terażniejszości. Dochód czy to z pracy, czy z własności, powinien być dla wszystkich klas ludności, choćby najniższych, wystarczającym i niekępowanym przez stosunki przeszłości, których bynajmniej za ideał uważać nie można.

Rozumie się, że skala musi tu być zawsze względna. Życie bowiem społeczne jest ciągle poruszającym się prądem. Badacz natury ma do czynienia przeważnie z danymi stałymi, dającymi się ściśle określić; przeciwnie rzecz się ma z instytucjami ludzkości w umiejtnościach społecznych. Tutaj określanie czegoś bezwzględne jest niemożliwym. Oznaczenie np. dochodu wystarczającego dla utrzymania rodziny na 500 rubli może w danym czasie być dostateczne; po upływie jednak lat kilku cyfra ta okaże się zupełnie nieodpowiednią. Zresztą co dla jednego jest wystarczającym, dla innego może być niedostatecznym.

Widzimy więc, że zasadniczą kwestyą gospodarstwa społecznego jest unormowanie stosunków dochodowych; od nich bowiem zależy zaspokojenie potrzeb jednostek społeczeństwa. Dochód minimalny

w danych warunkach czasu jest bezpośrednim celem każdego osobnika. Jeżeli większość ludu pod tym względem znajduje się w położeniu niezadowolniającem, natenczas stan społeczeństwa jest chorobliwym. Zadosyćczynić potrzebom ogółu w tym kierunku, jest głównym zadaniem dobrego gospodarstwa społecznego.

Dotychczasowa szkoła ekonomiczna i niektórzy jej przedstawiciele obecni nie przywiązywali dostatecznej wagi do podziału dochodów, stawiając na pierwszym planie sprawy wytwarzania bogactw. Bez wątpienia wytwór (produkcja) i wymiana (handel) są niezbędną podstawą zyskiwania środków zaspokojenia potrzeb, na sprawach tych jednak zatrzymywać się i poprzestawać nie możemy.

Trzeba pamiętać o tem, że sprawy wytworu bogactwa i ustosunkowania dochodów nie są identyczne i że często zachodzi między nimi starcie, przybierające bardzo szerokie rozmiary. Tania praca oddaje wielkie usługi wytworowi, ale ustosunkowanie dochodu jest przez to zwiecznione. W przeszłości a w pewnym stopniu i obecnie jeszcze widzimy wytwór górujący przygniatający pracę; zadaniem dzisiejszej nauki gospodarstwa społecznego jest zbadać tych stosunków gruntownych i wyznależenie odpowiednich norm równowagi.

Państwo nowożytne, złamawszy politycznie systemat feudalny, zachowało jednak, w znacznej części jego ustroj gospodarstwa społecznego, który żelazną dłonią zaciężył na ludności; wielka rewolucja francuska dopiero była dniem narodzin nowoczesnych reform ekonomicznych, które noszą też na sobie piętno jej wolności.

Różnica pomiędzy obecnym systematem ekonomicznym a przeszłym, oprócz wprowadzenia swobody, leży i w tem jeszcze, iż teraz przeważną rolę gra gospodarstwo prywatne a nie, jak dawniej, zbiorowe. Ogólna bowiem wolność wyswobodziła też jednostkę pod względem ekonomicznym.

Systemat gospodarstwa prywatnego w naszym stuleciu oddał produkcji ogromne usługi. Wytwór bogactw uczynił olbrzymie postępy, przez co też ta strona gospodarstwa mylnie została uznana za najważniejszą. Gdyby tak było w istocie, gdyby bezwzględny rozwój wytworu stanowił alfę i omegę celów gospodarstwa, nie pozostawałoby nic innego, jak tylko nieruchomie utrzymywać go w stanie obecnym, nie dopuszczając zmian żadnych.

Faktyczne jednak położenie rzeczy, zbadane głębiej w połączeniu z naturą człowieka, wskazuje, jak to już na wstępie zaznaczyliśmy, że w gospodarstwie społecznym głównym czynnikiem jest sam czło-

ku pałaszowi. Kancelista mimowoli spojrział nań sam i na lśniącem ostrzu przeczytał wyraźny ze złotych liter ułożony napis: „Abraham Taiteles, ulica Wesola, Nr. 33.”

Pałasz wypadł mu z ręki i zadzwonił na marmurowej posadzce. Zgnębiony kancelista twarz ukrył w dłoniach.

Gdy po niejakej chwili spojrział dokoła, o radości! — ujrzał piękną signorinę, siedzącą na marmurowej ławeczce. Z otwartymi ramionami pośunał się ku niej. Lecz wysoka, blada postać w czarnej sukni z pargaminowem pomarszczonem obliczem i ogromną siwą peruką zastąpiła mu drogę.

— Kto jesteś? — zawołał gniewny.

— Jestem opiekunem tej pięknej dziewczyny — odrzekło domino ochryplym głosem. Imię moje Rozum. Wzywam cię, śmiałku, w imię praw moralności i natury, stłum w sobie tę nieszczęsną namiętność, odstęp od zuchwałych swych zamiarów. Powróć do swego powołania, pracuj, używaj z umiarkowaniem darów życia, a będziesz szczęśliwy przez poczucie użyteczności swej dla społeczeństwa. Ja na wie-

ki oddzielam cię od tej pięknej dziewczyny. Tylko po mym trupie dostać się możesz do niej!

— Precz, czarno maro! — krzyknął kancelista i, powaliwszy czarne domino na ziemię, przyskoczył do signoriny Gioventu i namiętnie pochwycił ją w swe objęcia.

Gdy uczuł w swych ramionach tę słiczną, pełną życia istotę, gdy usłyszał na swej piersi wyraźne tętno jej serca, ogień młodości i wesela przejął go na wskroś. Oczy jego zaiskrzyły się, rumieniec zakwitł na licach, mięśnie zadrgały siłą olbrzyma. W rozkosznym wirze tańca sunął się z nią po sali. Maski rozstąpiły się, tworząc naokoło olbrzymi, różnobarwny wieniec. A w wieniec tym leciał on z nią, nogami nie dotykając posadzki, mimo muzykusa, wynędzniałego jak śmierć, który z głową pochyloną bez chwili odpoczynku długiem smyczkiem energicznie krajał struny swych skrzypiec.

Muzyka coraz więcej nabierała dziarskości, taniec się coraz bardziej ożywił; postacie masek dokoła splywały się w jeden uroczy barwisty sznur, muzykus coraz fantastyczniej wywijał swą długą chu-

dą ręką i coraz żywiej kiwał łysą głową. Upojony rozkoszą kancelista głowę nieco pochylił, i usta jego zapalały żądzą niepomowaną, dotknąwszy świeżych, różowych usteczek signoriny Gioventu...

* * *

W tej właśnie chwili stał jakiś podtatusały jegomość z jowialnym wyrazem twarzy przed jednym z łóżek w szpitalu i, poważnie brząkając w tabakierkę, badawczo spoglądał na rozognioną twarz chorego kancelisty. Po chwili rzekł do otylej służącej: „Do rana zaledwie dożyje.”

Wtem zadrżały usta umierającego, całe jego ciało zatrząsł się w gorączce, a ciężko oddychającej piersi wydarł się głęboki jęk: „Addio, addio, signorina Gioventu!”

Przekład z czeskiego

F. Now.

KONIEC.

wiek, a celem ostatecznym i najważniejszym jest zaspokojenie jednostkowych i zbiorowych potrzeb ludzkich, co znów polega na właściwym ustosunkowaniu dochodów. Musimy przeto zbadać, w jaki sposób nowy systemat gospodarstwa prywatnego, jednostkowego oddziaływa na rozkład dochodów. Produkuje się obecnie dosyć i nie brak ani plodów surowych, ani kapitałów, ani rąk roboczych; produkuje zatem popierać i rozszerzać więcej nie potrzeba. Potrzeba tylko uregulować jedno koło tej wielkiej maszyny, a mianowicie ustosunkowanie dochodów.

Wolny systemat gospodarstwa prywatnego doprowadził do nagromadzenia wielkich bogactw w rękach niewielu jednostek, zostawiając wielkie masy ludu na ich łasce.

To spowodowało, że uderzono na ów systemat i za ideał postawiono ustrój przymusowy, w naturze bowiem ludzkiej leży chęć wpadania z jednej ostateczności w drugą. Jak wiemy już, raz z systematu ekonomicznego, związkowego wieków średnich przeszliśmy do atomistycznego, jednostkowego, obecnie znów objawia się dążność do systematu związkowego na wielką skalę.

Systematu jednostkowego usuwać na razie niepodobna, naprzód dla tego, że oddaje on ogromne usługi wytworowi, powtóre że nowe systematy w zastosowaniu i rezultatach jeszcze należycie wypróbowane nie zostały. Każdy systemat, dla rozwinięcia się i zapanowania, musi dojrzeć. Systemat gospodarstwa gminnego i państwowego, jakkolwiek częściowo zwolna wprowadzany w życie, pod przewagą panującego obecnie systematu jednostkowego nie rozwinął się nigdzie w całej pełni. Nie chodzi zresztą wcale o absolutne ich przeprowadzenie, lecz jedynie, jak się trafnie wyraził Adolf Wagner: *skorygowanie i dopełnienie błędów i niedostatków systematu gospodarstwa jednostkowego odpowiednio zastosowanym systematem — zbiorowego*.

Uznając tę trafną zasadę, widzimy, że krwawe często walki na polu gospodarstwa jednostkowego do pożądanej reformy bezpośrednio doprowadzić nie mogą. Chodzi tu bowiem jeszcze o sprawy ogólniejsze i szersze, międzynarodowe, jak kwestya wolnego handlu i systematu celnego, ciągle się zaogniająca. Nie jest to sprawa zasady, lecz korzyści. Spożywczy oświadczają się naturalnie za wolnością handlu; idzie im bowiem o zaspokojenie potrzeb jaknajtańsze i jaknajłatwiejsze. Wytwórcy, którym chodzi o osiągnięcie jaknajwyższej ceny za wyroby, pragną znowu cel ochronnych, aby im zagranica w tym względzie nie przeszkadzała.

Gdyby w społeczeństwie wszyscy byli konsumentami, rozwiązanie kwestyi byłoby bardzo proste na korzyść wolnego handlu. Ponieważ jednak większa część społeczeństwa (75—80%) jest ekonomicznie wytwórcza i czynna, przeto większość jednostek składa zarazem producentów, przeto idzie im nie tylko o wytwór, ale i odpowiedni zeń dochód. Przy dużych dochodach każdy chętnie drożej zapłaci. Chodzi więc o to głównie, czy rozkład dochodów lepszym jest przy wolności handlu, czy przy cłach ochronnych, a rozstrzygają o tem specjalne stosunki danego narodu w pewnym oznaczonym czasie.

Orzec, że dla każdego narodu i zawsze lepszym jest wolny handel, albo też cła — bezwzględnie niemożna.

Dla narodów, posuniętych wysoko w gospodarstwie społecznym, jest rzeczą bardzo trudną obranie właściwej polityki celnej, której pomyłki celne mogą im wielką szkodę przynieść. Środek ciężkości gospodarstwa powszechnego leży głównie w odpowiednim ustosunkowaniu gospodarstw jednostkowych do zbiorowych. Najbliższym celem obecnym gospodarstwa społecznego jest przejście z ekonomiki jednostkowej, obecnie wszechwładnie panującej, do sy-

stematu, mającego na celu szersze związki społeczno-ekonomiczne.

Gdy nawet majątek jednostki przynosi samoistny dochód, często korzystnem jest łączenie się jej z innymi dla wytworzenia jeszcze potężniejszej siły produkcyjnej i zyskania więcej współdziałających. Wielkie przedsiębiorstwa spółkowe są coraz częstsze, natomiast jednostkowe coraz rzadsze; te ostatnie panują przeważnie w drobnym przemyśle, rzemiosłach i handlu częstokroć. Najwybitniejszym przejawem w kierunku wielkich zbiorowych przedsiębiorstw, wymagających do kierownictwa dużej ilości osób i olbrzymich nieraz kapitałów, są tak zwane towarzystwa akcyjne. Ale i w szerszym zakresie stowarzyszeń ludowych znajduje się zasada gospodarstwa zbiorowego szerokie zastosowanie, jakkolwiek pod tym względem napotyka się dopiero słabe początki. Wzmiankowane wyżej objawy gospodarstwa zbiorowego zostały już nawet gruntownie uregulowane przez prawodawstwo i cieszą się należytą opieką państwa. Główny nawet ruch i prąd ekonomiczny najnowszy, płynie właśnie w kierunku szerokiego rozwoju towarzystw akcyjnych i stowarzyszeń ludowych, przez państwa cywilizowane silnie popieranych. Zasadniczą bieżącą kwestyą ekonomiczną w tej mierze jest pytanie: czy związki te mają być dowolne, czy też przymusowe. Systemat przeważnie panujący dotychczas domaga się pozostawienia zupełnej swobody. Domaga się tego niemniej zasada wolności osobistej obywateli, na której opiera się cały wogóle ustrój społeczno-polityczny państw nowożytnych. Przejście od gospodarstwa jednostkowego do zbiorowego powinno być pozostawione działaniu stosunków i potrzeb naturalnych; inaczej doprowadziłoby mogło do sztucznej aglomeracji lub do korporacyjnych średniowiecznych urzędów, na których skruszenie zużyto tyle czasu i wysiłków. Ustrój zbiorowy rzemiosł, który właśnie przechował w sobie najwięcej przestarzałych form średniowiecznych, potrzebuje najwięcej reform ze względu na nowoczesne wymagania gospodarstwa narodowego, a mianowicie: co do uczniów czyli tak zwanych terminatorów, uregulowania stosunku czeladników do majstrów, urządzenia kas wsparcia i pożyczek, popierania stowarzyszeń produkcyjnych, poprawy odnosnego prawodawstwa rękodzielniczego i handlowego.

W dziedzinie wielkich przedsiębiorstw i wielkiego przemysłu palącą sprawą jest uregulowanie stosunku przedsiębiorcy do wielkich mas robotników. Trudno przewidzieć pomyślny koniec owej olbrzymiej walki pomiędzy biednymi masami pracowników a bogacami się szybko przedsiębiorcami na wielką skalę. Ze względu jednak na tę okoliczność, że silne rozjątrzenie, jakie owa walka wykazuje tu i owdzie, wpływa głównie z natury systematu gospodarstwa jednostkowego prywatnego, zaradczę przeto środki w tym kierunku polegać muszą na jaknajszerszym wprowadzeniu w te sfery zasady gospodarstwa zbiorowego z udziałem stopniowym mas robotniczych, na przygotowaniu gruntu wytwórczego i takich warunków, na których przedsiębiorcy i pracownicy przyszłości mogliby sobie przyjaźnie podać dłonie.

Po usamowolnieniu robotników i zerwaniu krępujących ich więzów, po przeprowadzeniu wszędzie zasady wolności pracy, wzrosła potężnie świadomość tych mas roboczych, ich praw społecznych i celów, ale mimo swobody kontraktowania się w obecnych warunkach ekonomicznych, ogólnych, klasy z trudnością prowadzą twardą swą walkę o byt; stanowisko bowiem ekonomiczne przedsiębiorców zapewnia im znakomitą przewagę. Mogą oni bowiem wolność swą wyzyskiwać nierównie szerzej, potężniej i korzystniej niż biedny, ciemny częstokroć, robotnik. To przyczyniło się do zasiania silnej niezgody i zatargów po-

między dwiema klasami: przedsiębiorców i pracowników.

Ta rozległa i bolesna sfera nowoczesnych stosunków ekonomicznych przedstawia dla celów i zadań ekonomiki dzisiejszej najpiękniejsze i olbrzymiego znaczenia pole. Przywrócenie zakłóconego pokoju w świecie wielkiego przemysłu, wynalezienie podstaw związku przyjaznego pomiędzy robotnikiem i przedsiębiorcą — oto wspaniałe zadanie dla współczesnego ekonomisty.

Chodzi tu nie tylko o materialne podstawy i warunki zgody, ale również o moralne i polityczne względy. Równoprawienie ekonomiczne obu stron i utworzenie odpowiednich instytucyj, izb i urzędów robotniczych, mających na celu opiekę i popieranie interesów klas pracujących, staje się pierwszą potrzebą chwili, najpierwszem i najważniejszym zadaniem nowego gospodarstwa społecznego.

S. Cz.

ZNACZENIE DOŚWIADCZEŃ DLA NAUKI.

Na drugim ogólnem zebraniu siódmego kongresu lekarzy w Londynie profesor Virchow przemawiał publicznie, broniąc zdania wypowiedzianego już dawniej, na zjeździe medyków w Amsterdamie (1879), że „ci wszyscy, którzy powstają przeciwko wiwisekcyom, nie mają najmniejszego pojęcia o nauce i nie zgola nie wiedzą o tem, ile zawdzięcza ona doświadczeniom nad żywymi zwierzętami.“

Zdanie to — powiada Virchow — podziela nie tylko ci, którym rodzaj studyów każe samym robić wiwisekcyę, lecz wszyscy bezwarunkowo stojący bliżej nauk przyrodniczych i medycznych; pomimo to jednak walka o wiwisekcyę nie tylko nie ustała, ale nawet, rzec można, zajątrza się coraz bardziej, wymagania przeciwników wzrastają, a ostatni ich wyraz, objawił się w petycji nowego lipskiego towarzystwa opieki nad zwierzętami, żądającej od sejmku ustanowienia prawa, aby każdy znęcający się nad zwierzęciem pod pozorem badań naukowych, był karany więzieniem od pięciu tygodni do dwóch lat z pozbawieniem wszystkich praw cywilnych. Nie ulega wątpliwości, że nie wszyscy idą tak daleko; nie wszyscy pragną rozstać się zupełnie z doświadczeniami na żyjących istotach; są tacy, którzy chcą jedynie pewnego ich ograniczenia, i otwarcia pracowni fizyologicznych dla członków towarzystw opieki nad zwierzętami, aby mieli tam prawonadzoru i wskazywania metody badań.

Skreśliwszy pokrótce stan starożytności polemicznych i parlamentarnych o wiwisekcyę, Virchow robi uwagę, że walka ta jest bardziej niebezpieczną dla nauki, niżby na pozór zdawać się mogło. Przeprowadzenie prawa o wiwisekcyach w parlamencie angielskim i rozprawy w innych sejmach nad tymże przedmiotem, są wskazówkami bardzo niepokojącymi każdego przyjaciela nauki. Z tego też względu należy, przedstawicielom wiedzy medycznej nad kwestyą tą pracować, aby dać jej szczęśliwe rozwiązanie.

Najpotężniejszym orężem jest prawda, oparta na poważnej wiedzy. Ufny w słuszność tego zdania, Virchow rozbiera szczegółowo wpływ badań doświadczalnych na postęp medycyny i dowodzi w nader pięknym historycznym rozbiórce rozwoju umiejętności lekarskich, jak każdy krok naprzód, każda zdobycz czysto naukowego, czy praktycznego znaczenia, była zawsze poprzedzana doświadczeniem, już to na żywym zwierzęciu, już to na trupie.

Dziś wiwisekcyom usiłują przeszkadzać ludzie ciemni, powodując się w swej walce z nauką fałszywą moralnością i złe rozumianiem poczuciem słuszności. Zupełnie podobna argumentacja długo wstrzymy-

wała postęp wiedzy, gdy źle zrozumiana moralność i dziwne jakieś pojęcia o świętości trupa ludzkiego nie pozwalały badaczom sięgnąć nożem do jego wnętrza. I dziś jeszcze oddźwięk tej starej walki, w której ostatecznie pogromcą był Vezalijusz, słyszeć się daje zawsze, gdy czułościowi rodzice zabraniają dokonywać autopsji nad dzieckiem, lub dzieciną nad rodzicami; a przecież niema już dziś na całym ucywilizowanym świecie średniowykształconego człowieka, któryby ważności anatomii dokładnie nie pojmował. Wszystkie teorie medyczne, przed zwrotem ku anatomii powstałe, upadły i śladu po nich niema, a ten stan rzeczy stwierdza zdanie Bacona: *Quae in natura fundata sunt, crescunt et augentur: quae autem in opinione, variantur, non augentur*.

Zupełnie podobny postęp, jaki medycyna uczyniła dzięki rozwojowi anatomii, zawdzięcza ona i wiwisekcyom. Jasne umysły potrzebę ich w zasadzie pojmowały od dawna, co stwierdza dokładnie opowieść o Demokrycie z Abdery, która aczkolwiek zdaje się być tworem późniejszej fantazyi i jest zanotowaną dopiero w dziełach Harvey'a, nie mniej przeto zasługuje na powtórzenie. Ziomkowie Demokryta, widząc jak ustawicznie krajał żywe zwierzęta, posądzili go o pomieszczenie zmysłów i zaprowadzili do Hipokratesa, aby tenże zajął się leczeniem go. Hipokrates jednak, pomówiwszy z Demokrytem o jego badaniach, wyrzekł do posłów, którzy go przyprowadzili, że w całej Abderze jeden tylko Demokryt ma zmysły zdrowe, a wszyscy jego ziomkowie są wariatami. Opowieść tę przytacza w swem dziele Harvey na usprawiedliwienie licznych wiwisekcyj, jakie musiał wykonać, aby dojść do swego znakomitego odkrycia o krążeniu. Bał się publikować swych doświadczeń. Wreszcie rzekł: *Ut cumque sit — jacta est alea. Spes mea in amantium veritatis et doctorum animorum candore sita*, i zdecydował się przyznać, że „żywym zwierzętom w najrozmaitszy sposób przecinał tętnice.“ Wykazawszy do wódnie ogromne znaczenie wiwisekcyj dla całej medycyny, i nie wspomniawszy nawet o wpływie doświadczeń z żywymi zwierzętami na postępy psychologii, kończy Virchow swą mowę ustępem polemicznym, który tu w skróceniu przytaczamy. „W imię ludzkości, moralności, religii, żądamy zarzucenia nie tylko wiwisekcyj, lecz wszelkich wogóle doświadczeń na zwierzętach.“ Chodzi tu o całą metodę doświadczalną, o wszystkie próby nad zwierzętami, czy nożem, czy nie nożem dokonane, jeśli tylko zwierzę przy nich cierpi. *Za kryterjum szkodliwości uważają cierpienie*. Każdy rozmyślnie zadany ból zowią torturą i powstają przeciw niej w imię religii i moralności. Podobny sposób widzenia rzeczy doprowadzić może do istotnie zadziwiających rezultatów. Wszak hodowcy psów i koni męczą je przy tresowaniu, a więc torturują — i im więc należy wzbronić hodowli i doskonalenia ras, wskutek czego dojdziemy do tego, że, tak jak w Turcyi, gromady dzikich psów bez pana wałęsać się będą po polach.

Pomiędzy przeciwnikami wiwisekcyj niektórzy posuwają się tak daleko, iż pragną, aby zupełnie nie zabijano zwierząt. Vegetaryaniści prowadzą walkę systematyczną. Seefeld¹⁾ pragnie zniesienia wiwisekcyj, ponieważ jednak sam jest vegetaryanistą i nie potrzeba mu mięsa — więc idzie jeszcze dalej — występuje przeciwko polowaniom. Znosi je jako środek rozrywki — uznaje jednak wówczas, gdy chodzi o obronę własnego życia. Inni pragną zniesienia wojen — z tymi jeszcze jest możliwą rozprawa — należy się tylko porozumieć co do zasad.

Zdaje mi się, iż nie można zaprzeczać, że śmierć jest gorszą niż tortura. Niepodobna prawie znaleźć takiego prawa karnego, w którym by zabójstwo było karane łagodniej, niż zadawanie cierpień. Słusznie utrzymują, że każda ofiara udręczeń, może jeszcze po ich ukończeniu cieszyć się wszystkimi jasnymi stronami życia. Mogą być wprawdzie okoliczności łagodzące zabójstwo, a obciążające udრეczanie, w zasadzie jednak większej krzywdzie winna odpowiadać większa kara.

W tem wszystkiem, co dotyczy zwierząt, przeciwnicy wiwisekcyj uważają ból i cierpienie za sroższe od śmierci samej. Zabraniają oni zadawania najmniejszych cierpień zwierzętom o niskiej stosunkowo organizacyi, a pozwalają na zabijanie najwyższych tworów przyrody w celach zupełnie subiektywnych.

Niektórzy żądają nawet, aby zabijano zwierzę, które służyło do doświadczenia, a przecież ono może żyć jeszcze długo i bardzo dobrze. Gdzież logika w tem wszystkim? gdzie moralność? Jaktó! mamyż prawo zabijać zwierzę, bez najmniejszej przyczyny użyteczności publicznej, możemy spożywać jego mięso, sprzedawać skórę, zamieniać jego kości na nawóz, a nie możemy posługiwać się niem w czysto naukowych, a więc idealnych celach, lub też dla użytku publicznego, a nigdy jednostkowego, subiektywnego? Ktokolwiek daje sobie prawo zabijania zwierząt, ten czyni nielogicznie, odmawiając lekarzom prawa wiwisekcyj. Dalecy jesteśmy od tego, by twierdzić, że nadużywanie tego ostatniego prawa nie jest karygodnem. Przedmiotem dyskusyi może być jedynie nadużywanie, bezcelowa i wielka tortura, jaką częstokroć ludzie zwierzętom zadają, i której żadną miarą nie można identyfikować z cierpieniem, występującem ubocznie przy doświadczeniu. Gdyby każde cierpienie równało się torturze, w takim razie należałoby karać weterynarza, który robi na koniu operacyę w celu wyleczenia go. Wedle naszego poglądu, karygodna tortura ma miejsce wtedy, gdy zwierzęciu zadają cierpienie bez użytku i celu.

Żadnego zarzutu nie możemy czynić tym, którzy pragną, aby wiwisekcyje były poddane kontroli urzędowych inspektorów, lecz *ten nadzór nie może być żadną miarą udziałem towarzystw opieki nad zwierzętami*. Ci, których więcej obchodzi zwierzęta, aniżeli nauka i chęć poznania prawdy, nie mają i nie mogą mieć w sobie ani odrobiny przymiotów, potrzebnych do urzędowego nadzoru nad sprawami naukowymi. Gdzieżbyśmy zaszli, gdyby uczony, rozpoczynający w dobrej wierze nowy cykl doświadczeń, był zmuszony tłumaczyć się przed pierwszym lepszym, a następnie bronić przed urzędem, dla czego wybrał tę a nie inną metodę badania, te a nie inne instrumenty, a może jeszcze, dla czego nie przedsięwziął innego doświadczenia?

Nie! nie podobnego nie może być przedmiotem ustaw. Jak dozwolonem jest każdemu zabijać zwierzęta dzikie lub domowe, tak samo musimy mieć wolność eksperymentowania nad żywymi w celach naukowych. Co zaś do konieczności danego doświadczenia, to o tem tylko sam eksperymentator decydować może. Jeśli ma się on porozumiewać z inspektorem urzędowym co do miejsca, czasu i widzów, to jeszcze znieśćby można; lecz kierunek doświadczenia winien mu być zostawiony w zupełności. Tak my przynajmniej pojmujemy wolność nauki.

Zarzucają nam, iż wzbudzamy oburzenie w właścicielach koni, psów i kotów, którzy wyobrażają sobie, że robimy bolesne próby nad ich ulubieńcami. Podzielamy w zupełności ich oburzenie, lecz zwracamy zarazem ich uwagę, że nie żądamy wcale, aby nam oddawali swych faworytów; eksperymentujemy na naszych własnych zwierzętach — wszakże ich nie kra-

dniemy. Chcemy tylko mieć swobodę postępowania ze zwierzętami, które do nas należą, są naszą prawą własnością i pragniemy, by nas za ciężką pracę nad nauką nie chrzczono nazwami ludzi okrutnych, niemoralnych, barbarzyńców — niemal że kryminalistów. Co do zarzutu, że wiwisekcyje zagrażają chrześcijaństwu, to do prawdy jest on godnym abderytów. Twierdzenie, jakoby młodzież lekarska stawiała się okrutną wskutek praktyk wiwisekcyjnych, jest jak wiele innych, zupełnie nieuzasadnioną potwarzą, wymierzoną w celu podania w wątpliwość moralności profesorów wiwisekcyj.

Pomimo to wszystko — nauka nie potrzebuje się obawiać. Można do niej zastosować to, co powiedział Bacon o słońcu: *Palatia et cloacas ingreditur — neque tamen polluitur*.

Dotąd Virchow.

Podzielając twierdzenia jego co do użyteczności wiwisekcyj dla nauki, wyznaczyć musimy, że on za słabo pojmuję i ocenia stronę moralną tej kwestyi. Gdyby mówił o prawie siły, rozumielibyśmy język jego wywodu, ale gdy mówi o prawie moralnem dręczenia zwierząt — nie pojmujemy. Virchow zapomina, że ściśle licząc, człowiek nie ma prawa żyć kosztem innych zwierząt, lecz tylko ma do tego siłę.

R. P.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Andrzej Frycz Modrzewski, pisarz wieku XVI, jako teolog. Napisał ks. Władysław Knapinski s. t. k. wik. paraf. św. Krzyża w Warszawie. Warszawa, 1881. 8-a, 48 str. Odbitka z *Encyklopedyi Kościelnej*, t. XIV.

Prace Modrzewskiego, które w łańcuchu badań XVI w. stanowią tak poważne ogniwo, że pamięć o nich przeżyła autora, były badane z wielu stron: politycznej, społecznej, ekonomicznej i t. d. — jedna tylko pozostała nietkniętą, mianowicie strona teologiczna. W pasmie swoich pomysłów, autor *Komentarzy o naprawie rzeczypospolitej* przedstawił całokształtny system reformy kościelnej, którego poznanie byłoby bezwzględnie bardzo pouczającym, o ile zostało oparte na szerokiem tle badań historyczno-porównawczych. Biorąc do ręki pracę ks. Knapinskiego, sądziliśmy, że ona choć w części uzupełni istniejącą dotąd lukę w naukowej naszej literaturze, że wskaże nam historyczne podstawy reformy Modrzewskiego, zobrazuje cykl jego pomysłów teologicznych w zestawieniu ze współczesnymi mu teoriami licznych reformatörów kościelnych w zachodniej Europie i u nas, słowem, że w pracy tej ujrzymy wielką reformę kościelną jednego z najgłębszych myślicieli ówczesnego świata, która systemem swym wzniosła się ponad dążenia wieku. Zamiast jednak odpowiedzi na te uzasadnione wymagania, w broszurze powyższej znaleźliśmy staranne naginanie faktów do tendencyjnie postawionego *a priori* wniosku, zamiast krytyki znaleźliśmy paszkwil... Nie tylko za życia sądzono Modrzewskiemu znosić ciągle klucza i napaści ze strony *papistów*, jak zwykł nazywać przeciwników swoich zasad.

Dotąd zwykliśmy widzieć w Modrzewskim godnego poprzednika Bodina, z którym statysta nasz walczył zwycięzko o pierwszeństwo w dziejach nowoczesnej nauki o państwie; w jego teorii politycznej widzieliśmy naturalne, stopniowe przejście od jasnych, lecz nieśmiały, niepewnych jeszcze pomysłów z epoki odrodzenia do tych przedstawicieli nauki, którzy otworzyli szerokie pole nowych badań w zakresie nauk prawno-politycznych; reforma skarbową, zasady ekonomiczne Modrzew-

1) Alfred von Seefeld. *Alles und Neues über die vegetarische Lebensweise*, Hanower 1880.

skiego, jego systemat władzy administracyjnej — zjednały mu pierwsze miejsce w szeregach badaczy skarbowości i administracji, a humanitarna jego teoria wojny zdobyła sobie u współczesnych szerokie uznanie jako gruntująca zasady prawa międzynarodowego, rozwinięte później przez wielkiego następcę Frycza, — Hugona Grociosa. Wreszcie gorąca obrona niższych warstw społeczeństwa, tak jasnym promieniem odbijająca na tle ówczesnej socjologii społecznej, oraz obrona zasady indywidualizmu i tolerancji, przeprowadzona w szeregu traktatów treści teologicznej, ozdobiły skroń Modrzewskiego zasłużonym wawrzynem.

Nowe badania, w miarę rozszerzającej się myśli ludzkiej, dostarczały obficie dowodów dla upodstawiania naukowych zasług Frycza. Dopiero w 1881 r. uczony wikary parafialnego kościoła Świętokrzyskiego w Werszawie i kandydat świętej teologii przekonał się, że uczeni naiwnie patrzyli na Modrzewskiego przez pryzmat adoracji i publicznie w specyjalnie w tym celu napisanej broszurze zaczął się dziwić, skąd się wzięły te pochwały dla człowieka, który, zdaniem jego, bynajmniej nie był głębokim myślicielem, lecz „tylko projektowiczem“ (str. 43)! Odnalazłszy tę błąkę czystej prawdy, uczony wikary spieszy podzielić się swą zdobyczą ze światem; ogłasza więc *orbi et urbi*, że Modrzewski dla ocalenia majątku i dla miłego spokoju wyrzekł się prawdy (! str. 12), że pragnął zguby kościoła (str. 30), że w tym celu opracował „zdradziecki plan“ reformy kościelnej (34), że był „mędrkiem bez żadnej powagi“ (39), że niewdzięcznie jadł chleb kościelny (! 40), że charakter jego przekonania był żaden (! 43), wreszcie odszukał dowody, że obrońca ludu w teorii, w rzeczywistości był jego ciemiężcą. Słowem, spokojny uczony, stroniący od walki partii, wierny do końca życia wyznawanym zasadom, humanista, występuje w broszurze naszego wikarego, jako oszust, człowiek bez charakteru, zaprzeczający swe przekonania! Przykładów podobnej zuchwałości w krytyce, doprawdy, mało moglibyśmy nalieźć...

Nie będziemy szczegółowo rozbić broszury ks. K. — byłoby to i śmiesznem i bezowocnem. Autor zapuścił kosę w cudzą łakę i dla tego też naciął tyle chwastów, których jednak nie wahał się publicznie sprezentować, sądząc naiwnie, że świat się nie pozna na pierwszym z rzędu fałszu; o ile zaś stoi na gruncie teologicznym, któremu zresztą w broszurze swej ubogie wyznaczył miejsce, prostowanie jego tendencyjnych poglądów przekraczałoby ramy niniejszego sprawozdania. Dla przykładu więc tylko wskażemy na główne punkty jego ryzykownej wycieczki.

Ks. K. w całej broszurze przeprowadza zdanie, że Modrzewski był „na chlebie kościelnym“, tymczasem te same źródła, których znajomością autor tak się popisuje, powinny go być przekonać o błędności tego twierdzenia. Zarzuty, jakie możnaby z tego powodu przeciwko Fryczowi skierować, odpiera decydująco list biskupa Drohojowskiego do papieża z 1556 r., w którym tenże stwierdza zupełną niezależność autora Sylw od kościoła (*Relacje nuncjuszów*, I. 27 „ipse Fricius pensionem a me nullam habet etc.“). Tylko złośliwa tendencyja mogła postawić obrońcę wolności przekonania pod pręgierz tak ohydny zarzut! Ścisłe zaś stosunki z takimi przedstawicielami kościoła, jak Uchański, których papieństwo nigdy zapewne nie policzy w poczet swych apologetów, wymownie świadczą o dążeniach Modrzewskiego. Wiadomo bowiem, że prymas był głównym zwolennikiem reformy kościelnej, przez M. obmyślonej; zresztą stosunki te nie przekraczały granic osobistej przyjaźni. Zajęcie z Orzechowskim w Wolborzu i wynikłą stąd polemikę ks. K. maluje zupełnie od-

miennymi barwami, aniżeli, wszyscy biografowie Modrzewskiego i odnośne źródła. Ostatni zarzucają Orzechowskiemu obłudę i bronią Frycza, autor zaś idzie przeciwną drogą, wprowadzając krętą, lecz wygodniejszą. Cały charakter antagonisty, a poprzednio przyjaciela Frycza, zmienność jego przekonania właśnie „dla miłego chleba“, powinny były wskazać baczność w ocenianiu stosunku pomiędzy nim a Modrzewskim. Ks. K. jednak nie dowierza źródłom, wątpi czy rzeczywiście wyzwanie Frycza nie zastało go w domu, a w uczonej dyspacie dopatrzyć drwiny ze strony Orzechowskiego (36). Autor broszury postępuje niekonsekwentnie, raz bowiem odmawia Modrzewskiemu wiarogodności zeznań, to znowu powołuje się na jego świadectwo, stosownie do tego, jak mu wygodniej, podczas gdy w badaniach biograficznych uczeni przyszli do wniosku, że głównym źródłem do poznania życia autora komentarzy są jego własne prace, w których, co do własnej osoby, odznacza się niezwykłą bezpretensjonalnością i prostotą. Ks. K. jednak więcej dowierza Orzechowskiemu. Tak np. odświeża on dawno obalony zarzut, stawiany raz tylko przez jednego Orzechowskiego, kwestionujący pochodzenie szlacheckie Frycza. Pomijając drugorzędność tej sprawy, nie możemy nie zwrócić uwagi na charakter tego zarzutu, będący wymownym przyczynkiem do oceny pracy ks. K.

Zgodnie z przyjętą zasadą, ks. K. pominął w swym opisie całą ostatnią dobę w życiu Modrzewskiego, gdy tenże, kryjąc się przed prześladowaniem sług kościoła, tułał się po kraju, marnując swe siły, aż w końcu umarł w ubóstwie, choć z nawiasowo rzuconych zdań możemy wyprowadzić wniosek, że bynajmniej nie protestowałby on przeciwko wyrokowi śmierci na autora Sylw. „Za Pawła IV spotkała Frycza — pisze — rzeczywista i słuszną karą (! 40). Autor z krytyką i wyrokiem swym spóźnił się o całe trzy wieki — dziś nikt go nie posłucha, w XVI wieku możeby odegrał wybitniejszą rolę.

W spóźnionej nienawiści przeciw Modrzewskiemu, ks. K. odmawia mu nawet zasług co do postawionej przez niego zasady równości wszystkich wobec prawa i obrony warstw niższych (18 i 43). Przytoczona jednak w tym celu notatka z aktów kap. gnieź. nie może nas przekonać o zasadności autora: my w niej widzimy wyrok M-go, jako wójta, czy słuszny lub nie, o tem nie wiemy, bo autor przytoczył tylko skargę, ks. K. zaś upatruje w niej świadectwo gwałtu (48).

Pomijamy kwestję, czy M. w istocie w 1546 r. był już sekretarzem królewskim, (9 str.), czy naukę luteranów poznał jeszcze na studiach krakowskich lub później (6), pomijamy wreszcie rozbiór pytania, czy plan reform Modrzewskiego był „zdradziecki“, sądzymy, że powyższe ustępy z broszury ks. K. wyjęte, dostatecznie charakteryzują jej dążenie. Broszura ta, gdyby to było możliwem, niewątpliwie rozradowałaby w grobie Orzechowskiego, świadcząc o istnieniu dziś jeszcze jego epigonów.

Fr. Olszewski.

Literatura zagraniczna.

A de Roberty: Socyologia. (La sociologie. Paris Germer—Baillière, 1881. Bibliothèque scientifique internationale).

Jakkolwiek socyologia zajęła już pewne stanowisko wśród nauk, jednakże w obecnym stanie rozwoju daleko jest jeszcze od systematycznego ukształtowania się i dopiero nowsze prace dają niejaka nadzieję, że wyjdzie ona nareszcie z dziedziny prób przed-

wstępnych i przestanie błądzić po omacku. Do takich prac należy świeżo wydane w Paryżu dzieło p. Roberty, które traktuje warunki rozwoju tej nowej nauki; niema ono na celu pomnożenia faktów i obserwacji, ale raczej pragnie określić metodę i znaczenie socjologii w dziedzinie nauk. Dzieło to jest pewnego rodzaju pracą przygotowawczą — stanowi *prolegomena* dla przyszłej socjologii. Na wstępie autor oświadcza, że jest zwolennikiem filozofii pozytywnej. Podług niego, hipoteza wzięta w znaczeniu przypuszczenia, które nie może być bezpośrednio stwierdzonem, powinna być wyłączona z dziedziny filozofii, będącej metodą, za pomocą której dochodzi się do pojęcia całości wszystkich znanych zjawisk. W zakresie nauk szczegółowych filozofia powinna odegrać wielką rolę, ujawniając ukryte stosunki tych zjawisk. Podług Robertygo, filozofia specjalna każdej nauki zajmować powinna miejsce pośrednie pomiędzy tą umiejętnością a uogólnieniem całej wiedzy, w tym też duchu książka jego jest zarysem, którego wszystkie części należą do filozofii szczegółowej nauki społecznej. Autor podzielił swe dzieło na cztery części: Zadanie socjologii, Miejsce socjologii w dziedzinie nauki, Podział socjologii, Kwestye złożone.

W pierwszej części p. t. „Zadanie socjologii“, p. Roberty zaznacza przedewszystkiem, że od Augusta Comte'a socjologia ciągle poszukuje swej prawdziwej drogi i nie może na nią natrafić. Nie chodzi teraz już o obranie subiektywnej lub obiektywnej metody badania, ale o oznaczenie szczegółowej metody naukowej, którą autor przeciwstawia dwóm zasadniczym metodom logicznym. Przedewszystkiem socjologii brakowało dotąd historii naturalnej społeczeństw, to jest opisowej, porównawczej i analitycznej nauk społecznych. Chociaż dotychczasowe prace nagromadziły mnóstwo materiału, jednakże rezultaty ich są niezbyt doniosłe. Dwa szczególnie obfite źródła nie były dotąd należycie badane, mianowicie: moralność czyli „hygiena społeczna“ oraz prawo — „naturalny wytwór moralności“. Fakta społeczne, podobnie jak fakta psychologiczne dostarczyłyby wprowadzić względnie wielkiej ilości obserwacji, ale z drugiej strony najmniej dotąd pozwalały dojrzeć stosunków jednorodnych, wzajemnie je między sobą łączących. Trzeba teraz z tych faktów korzystać i wyprowadzać z nich prawa.

Niezależnie od użycia dwóch metod dedukcyjnej oraz indukcyjnej, (które podług Robertygo opierają się zarówno na obserwacji) stosownie do rodzaju spostrzeżeń nauki abstrakcyjne mogą być podzielone na następujące grupy: 1) intuicyjne czyli pewnikowe, gdzie obserwacja jest naoczna (intuicyjna), jak w matematyce; 2) nauki oparte na obserwacji prostej i zwykłej (astronomia); 3) doświadczalne (fizyka i chemia); 4) opisujące, oparte na specjalnych procesach naukowych: na klasyfikacji, definicji i porównaniu. Dla nauk socjologicznych, podług p. Roberty, szczególną ma wartość opisowość (description), która stanowi cechę charakterystyczną metody socjologicznej. W dziedzinie nauk biologicznych i socjalnych opisowość ta jest jeszcze obserwacją, ale już obserwacją przekształconą i przedłużoną, jest czemś pośredniem pomiędzy obserwacją z jednej strony a abstrakcją i uogólnieniem z drugiej strony. Wobec skomplikowanych zjawisk socjologicznych oraz wielkiej ilości obserwacji, metoda ta ma ważne zadanie uszeregowania, uporządkowania i klasyfikacji tych obserwacji, a ta ważna czynność oparta i wspomagana przez analizę dokładną punktów styecznych oraz różnorodności zjawisk, nazywa się właśnie „opisowością“ naukową. Pomijamy długie a dość ciemne wywody i definicje nauk abstrakcyjnych i konkretnych, zaznaczając tylko, że podług p. Roberty socjologia,

jakkolwiek nauka oderwana, jest *opisową* ponieważ: 1) metoda opisowa ściśle odpowiada naturze zjawisk socjalnych, które nie są pochwytne ani dla obserwacji ani dla doświadczalności; 2) ponieważ socjologia jako nauka jest dopiero w początkach swego rozwoju. Opisowość naukowa jest także *analizą*, której umysł poddaje przedmioty, aby ująć ich wzajemne stosunki, jest to ta sama metoda, identyczny proces myślenia, ale zwyczajnie stosujemy chętniej opisowość do przedmiotów widzialnych, analizę zaś do niewidzialnych.

Oceniwszy wreszcie w pierwszej części opinie Stuarta Milla, Spencera, Bain'a, Lewes'a, Proudhon'a i Schefflego o charakterze biologii i socjologii, p. Roberty konkluduje, że przedmiotem socjologii jest zasadnicza własność materii, którą zwie „socjalnością“ (*socialité*) a wszystkie wysiłki tej nauki powinny do tego dążyć, aby ze stanu historii naturalnej podniosła się do stanu nauki naturalnej społeczeństwa.

E. C.

(Dokończenie nastąpi).

TEATR.

Występy p. Ładnowskiego.

Jeden z krytyków angielskich słusznie rzekł, że główną treścią sztuki aktorskiej jest umiejętność i wyrazistość odtworzenia w zakresie jej środków uczuć i namiętności. Określenie to, całkiem słuszne, uzupełnić należy drugim, a jeszcze ważniejszym stopniem tej zdolności — to jest umiejętnością wiązania tych uczuć i namiętności w całości psychiczne, czyli odtworzenia charakterów. Pomijając w tej chwili ciążące się nam pod pióro uwagi psychologiczne, co do natężenia i ważności obu tych uzdolnień aktorskich, zaznaczamy tylko, że w niepospolitym stopniu posiada je p. Ładnowski, goszczący na naszej scenie. Zdolność ta przedstawia się u niego przeważnie jako pomysłowość w postaciowaniu charakterów. Kto widział kilka momentów w 3 i 4 akcie roli Otella, ten przyznać musi, że p. Ładnowski miewa czasem chwile prawdziwego natchnienia, w których zdobywa się na grę pełną nienaśladowanej prawdy i estetyczności, do jakiej droga studyów i mozolnej roboty nad szczegółami żaden aktor dojść nie może. Siła twórcza jego jest istotnie niepospolitą. Nie sprowadza on postaci do formulek i efektów rutynicznych, ale każdą stawia odrębnie na odpowiednim gruncie psychicznym, i każdą w zakresie swych zasobów stara się oddać zapomocą odrębnych środków.

Inteligencja, wysoki smak artystyczny i doświadczenie chronią go od sztuczek i tuzinkowego efekciarstwa. P. Ładnowski posiada dziwną umiejętność utrzymania się w pewnym tonie powściągliwej estetyczności, posiada zdolność wyjaśnienia i uproszczenia niekiedy treści charakterów, tak, że gra jego zawsze jest jasną, łatwą i naturalną. Gdyby te przymioty były w sztuce aktorskiej wszystkim, p. Ładnowski byłby prawdziwie wielkim artystą. Zupełnie jednak inaczej przedstawia się strona zewnętrzna talentu i warunków artysty, którego natura bynajmniej nie uposażyła w materiał odpowiedni wysokości podejmowanych zadań tragicznych. Głos jego, pod względem natury brzmienia, nie jest szlachetnym, stopień jego siły bardzo niewielki, tylko skala dość obszerna daje mu możność zdobywania się na względną rozmaitość brzmienia. To też strona fonetyczna gry jest najsłabszą. Wadliwe spadki głosowe, ścieśnianie samogłosek, zbyt mocne artykułowanie niektórych spółgłosek (zwłaszcza *k* i *c*), pewne zaciąganie głosem przy końcu zdań lub okresów, cały

wreszcie fonetyczny tok dykcji świadczy, że p. Ładnowski muzykalności języka naszego zupełnie nie czuje a sztuki mówienia na dobrych wzorach nie studiował. Dykcja jego ma jedną tylko, wprawdzie bardzo ważną zaletę, to jest, prawidłowe akcentowanie wyrazów mocnych, będące wynikiem inteligencji, po za tem jednak jest manierowaną ujemnie, chociaż w zakresie tej manieri artysta umie ją nagiąć do swoich intencji w sposób wcale zręczny. Pomimo nieświetnych warunków fizycznych, plastyka zewnętrzna artysty, zwłaszcza w rolach kostiumowych, jest mistrzowską, jego ruchy czasami także zbyt manierą nacechowane, są bogate, pełne właściwej wyrazistości, a nadewszystko zawsze szlachetne i estetyczne. Wobec tego przebaczymy artyście ubóstwo mimiki twarzy, tembardziej, że przeszła już doba owej szkoły gry aktorskiej, która chciała wyrazić namiętności, uciekała się wyłącznie do jaskrawego ruchu mięśni twarzy.

Na tem tle ogólnem zaznaczymy teraz szkieletowo wartość jego pojedynczych twórców artysty, posilając się jednak w ocenie niektórych wspomnieniami dawniejszych wystąpień jego na naszej scenie, gdyż obecnie talent artysty podług chorobie, z początku zwłaszcza, okazywał znużenie. Na czele wszystkich ról p. Ł., stawiamy Otella, tę najtrudniejszą dla aktora z postaci Szekspirowskich, w której talent artysty wzbił się do swego szczytu. Rolę tę, pełną dzikiej siły, sprowadził on do swych warunków, złagodził, zmodyfikował pomysły poety, które straciły na dosadności specjalnego kolorytu, ale zyskały na szlachetnym, estetycznym pięknie. Odrzucił zwłaszcza aktu geneza namiętności aż do ostatniej sceny prowadzoną była w sposób znakomity, pełen prawdy i poetyczności, a chociaż artysta świadomie obniżał ustępy energiczne, całość, w dawniejszem zwłaszcza wykonaniu, jako malowidło namiętności, była jednym z piękniejszych dzieł sztuki aktorskiej. Bardzo dobrze granym był także dawniej Romeo, który pomimo braku wrzęku w głosie, od początku do końca wrzał siłą młodości, a jego namiętność prowadzoną była bardzo trafnie od pierwszych chwil spotkania się z Julią aż do tragicznej katastrofy. O ile pamiętamy Hamleta, przedstawiony był on jasno, estetycznie, w sposób uproszczony dla pojęcia słuchaczy, oryginalny, ale artysta nie wykazał w tej roli głębszego i samodzielnego poglądu na pomysły Szekspirowskie, chociaż grał rozumnie. Na króla Leara brak mu siły i majestatyczności, bez których ta legendowa postać nie ma właściwego poetycznego uroku. P. Ł. dobrze pojął rolę i nadał jej piętno realne, obmyślił cały przebieg charakteru, ale wogóle nadto musiał się sztukować, chociaż w ostatnim akcie wzniósł się nagłym rzutem energii w wyżynę wzniosłości, oddając pięknie rozpacz starego króla. Ważnym błędem w tej roli było także u p. Ładnowskiego traktowanie obłąkania bez dostatecznych studyów psychiatrycznych a szczególnie motywowanie przeskoków myśli obłąkanego przeważnie na podstawie natrąceń zewnętrznych, gdy tymczasem wiadomo z psychiatrii, że proces taki zwykle odbywa się, na mocy wewnętrznego kojarzenia się bezładnie płynących pojęć i wyobrażeń. Lear wogóle, podług nas, jest najsłabszą z Szekspirowskich ról, które wogóle są twórcami niepospolitego talentu. W zakresie swych środków artysta gra je świetnie, posiada istny talent zastosowania roli do skali swej możliwości fizycznej, ale w stosunku do Szekspira rezultat gry jego pięknej i rozumnej jest często niewystarczający.

Kładziemy na to nacisk tembardziej, że bezwzględni chwalcy p. Ładnowskiego, biorąc wiele jego pięknych *zamiarów* za wykonanie artystyczne, dawali do zrozumienia, że jego metoda odtworzenia ról

Szekspirowskich jest na naszej scenie epokową. Opinia taka nie wytrzymuje krytyki. P. Ładnowski jest artystą niezwykłej miary, ale należy do talentów, które wyrobiwszy sobie technikę czysto indywidualną, nie mogą być dla nikogo wzorem, ponieważ brak im prawdziwie poprawnej szkoły. Wysoki jego talent każe nam zapomnieć o wadach *manier*, które nasładowanie w pomniejszych talentach galicyjskich było po prostu rażącym. Pan Ładnowski w dziedzinie sztuki aktorskiej dokonał prawie cudu, że swoimi środkami potrafił tak estetycznie przedstawiać wielkie role Szekspira, ale gra jego nigdy nie może być normą wzorową dla odtwarzania postaci, które na całym świecie grane są z wielkim nakładem siły i tragiczności, ponieważ w dziedzinie dramatu są także najwyższymi wcieleniami psycho-fizycznej siły człowieka. Z innych ról artysty wyróższaj estetyczną wartość ma Perdican w dramacie Musset'a: *Nie igra się z miłością* przedstawiony z werwą, młodością, i wznikiem we wszystkie odcienie charakteru. Komedy salonowe niezbyt udają się p. Ł., szczególnie względnie do wymagań dystynkcji, jakie w tym rodzaju wytworzył teatr warszawski. Jego Mortemer w *Starych kawalerach* był inteligentnie, ale dość zwykłe graną figurą a rola arystokratycznego bajarda w *Miłości ubogiego młodzieńca* przedstawioną została bezbarwnie, tak, że trudno było nam odgadnąć, na jakiej podstawie wysoko inteligentny artysta mógł obmyśleć grę, która prawie nie nie wyrażała.

Nie mówiąc już o świetnych kreacjach Żółkowskiego, Modrzejewskiej i panny Popiel w dziedzinie komedii, dramat nasz, chociaż traktowany po macoszemu, dał kilka takich arcydzieł gry aktorskiej, jak role Królikowskiego w *Zbójcach i Końcu Stuartów* albo panny Deryng w *Romeo i Julii* i *Sylvii* Mosenthala. Do takich wyżyn talent p. Ładnowskiego nie może sięgnąć z powodu wrodzonych granic możliwości, w każdym razie większość jego ról należy do wysoko artystycznych produkcji, jego działalność zaznaczyła się zupełną samodzielnością stanowiska i szlachetnym a wytrwałym dążeniem do najczystszych celów sztuki aktorskiej. Największe jednak talenta podlegają krytyce, która nawet w arcydziełach wykazuje braki. Dziwnym rzeczy zbiegiem ze względów poza artystycznych recenzenci nasi wobec p. Ładnowskiego biją pokłony fakirow. Dlatego też wbrew zwyczajowi pisma naszego poświęciliśmy bliższą ocenę jego talentowi, tembardziej, że oddawna nie spotkałimy nawet usiłowania racjonalnej oceny gry aktorskiej w krytyce naszej gołosłownej, przeskakującej od polajanki do panegiryków.

S. K.

MUZYKA.

Przeszłość. — Sąsiedzi. — M. Gomółka. — A. Poliński. — Jubileusz Kochanowskiego. — Zawierucha. — Współczesność. — Z. Noskowski.

Dzieje sztuki polskiej są wymownym dowodem organicznego związku i jedności jej z całym obszarem życia społecznego. Dopóki życie narodu objawiało się w pracy rzeczywistej, oryginalnej, dopóki narodowość nasza miała jakikolwiek udział w cywilizacji ogólnoeuropejskiej, dopóty i sztuka nasza (w szczególności muzyka), będąc jakby skrytalizowaną, uczuciową stroną tej pracy, może przeciwstawić imiona mistrzów, godnie rywalizujących z mistrzami zachodu. W dziełach ich odczuwamy łatwo, że są one wynikiem samoistnej pracy, która nadaje im odrębne cechy: nie jest to niewolnicze naśladowanie rzeczy goto-

wych. w zupełności wykonanych, które wśród nowych warunków dziełom sztuki polskiej musiałoby nadać wyraz martwo urodzonych tworów — owszem, gleba polska do skarbnicy ogólnej dodaje nowe przymioty, nowe życie wlewa w postaci oryginalnej rytmiczności, melodyjności, i nadzwyczajnej śmiałości, zuchwałości niemal pod względem harmonicznym. Wiek XVI szczyty się imionami Wacława Szamotulskiego i Mikołaja Gomółki. O mistrzach tych historycy sztuki muzycznej nie wspominają nawet, nie dziwna więc rzecz, że sztuce polskiej w swych foljałowych dziełach nie poświęcają nawet jednej karteczki. Nie możemy, nie mamy nawet prawa o to obwiniać cudziemców, gdyż sami dopiero niemal w obecnej chwili umysły i serca nasze ku nim zwróciłyśmy. Dzieła tych mistrzów w oryginalnych, pierwotnych wydaniach są bibliograficznymi rzadkościami; będąc białymi krukami stanowią ozdobę magnackich zbiorów, lub bibliotek przy zakładach naukowych. Dostęp do nich niełatwy, tem bardziej że rozrzucone są po wszystkich zakątkach ziemi polskiej. Wobec ironicznych przekasów, jakimi nas tak często i brutalnie częstują sąsiedzi nasi, chętnicy się wyższością swej kultury, staje się obowiązkiem prawdziwie obywatelskim, koniecznością wydobyć na jaw tych arcydzieł i opublikowanie ich w notacji współczesnej, dostępnej dla ogółu. Zamiast więc kłótliwego odpowiadania na zaczepki, najwymowniejszym dowodem naszej żywotności, wypowiadanie praw do istnienia byłoby krytyczne opracowanie w nowych wydaniach. Wówczas badacze zagraniczni zmuszeni byłiby do zwrócenia swej uwagi na rzeczy muzyczne polskie, a najemni krzykacze mieliby jednym mniej kęsem naszej opieszałości, na której ich gończe ujadanie uprawia się.

Jubileusz Jana Kochanowskiego zwrócił uwagę i naskromne, mało znane dotychczas imię Mikołaja Gomółki. Jeden z młodych, skromnych a pełnych zapału badaczy muzycznych, zebrał i sprostował wszystkie możliwe dane o życiu i pracach tego mistrza. Badaczem tym jest p. Aleksander Poliński. Komitet, zajmujący się jubileuszowym wydaniem wszystkich dzieł Jana z Czarnolasu, zamierza przy tak dobrej sposobności zająć się Mikołajem Gomółką, którego jedynym leż wielkiem dziełem, jest muzyka (chór czterogłosowy) do psalmów Dawidowych. Oby tylko fundusze starczyły na wydanie tego dzieła w całości — wszelki wybór, niedający pojęcia o całości, byłby pracą tylko połowiczną nieokreśloną, a więc bez skutku, bez wpływu. Do komitetu tego wezwany został p. Poliński, którego praca o Gomółce, drukowana była w roku zeszłym w *Echu Muzycznym*. Życzyćby należało, aby dodatni rezultat mógł uwienczyć tę obywatelską pracę.

W wieku XVII zaczyna się peryod naszych utrapień. Pracy w nim wiele, biedy jeszcze więcej — lecz owoców dodatnich bardzo mało. Jest to jakkolwiek bądź, tylko gorączkowa krzątanina w górejącym domu. Na chwilę zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło — uciecha, bachanalia bezmyślna zawałnęła umysłami i uspiła wszelką chęć do ciężkiej, jedynie zbawiennej pracy. To też gdy koniec XVIII wieku boleśnie zbudził z tego snu, trzeba było zaczynać prawić na nowo.

Sztuka muzyczna zaczyna się niemal od swych pierwocin. Pieśń z dworów i chat przenosi się udratyzowana na deski teatralne, lecz musi przebywać ciężką pracę wyrobienia, zanim przybierze formę, prawdziwie godną sztuki dramatycznej. Pieśń nasza tułała się wówczas wszędzie — od ognisk obozowych, rozrzuconych po całej Europie, olbrzymiem echem przedostawała się do ojczyznej ziemi. Dopiero w genialnych dziełach Chopina, przybrała formy sztuki europejskiej — pierwszy to dowód naszej odrębności w dziedzinie sztuki mu-

zycznej. Chopin uprawnił istnienie żywiołu polskiego w sztuce, której granice znakomicie rozszerzył. Po nim znowu następuje cisza: brak gieniuszu, a pracy, nauki, która z talentów robi prawie genialnych, niema. Widzimy więc zdolności na każdym niemal kroku, ujawniające się licznymi dowodami samorodnego talentu, lecz przytem przedwzrosłe wędzące, z przyczyny nieudolności.

Napróżno patryotyzm chciał tym karłom nadać wielkość mistrzów — nie z tego metalu wyrabiają się niespożyte posągi; glina dobrą jest tylko do zwykłego użytku. Mielśmy więc tysiączne próby, muzyka polska miała już wszystkie działy: kameralny, symfoniczny, religijny i dramatyczny. Najszcześniejszym z nich był dział dramatyczny: Moniuszko był jego przedstawicielem. Lecz za to inne działy, mianowicie muzyka symfoniczna była zbiorowiskiem rzeczy nieudolnych, powleczonego uczuciowym pokostem patryotyzmu. Do przeceniania tych dzieł przyczyniała się głównie zupełna prawie nieznajomość arcydzieł sztuki zagranicznej i chęć do narodowa. Epoka ta na szczęście już przeminęła. Doświadczenie nauczyło nas, że zdolności, których nam natura nie szczędzi, trzeba łączyć z wytrwałą pracą, nauką, że do czci, jaką mamy, dla rzeczy ojczystych, dodać trzeba poszanowanie dla zdobytych myśli i pracy ogólnoludzkiej. Uczymy się — na owoce zaś tej nauki zbyt długo nie czekamy. Do niedawnych jeszcze czasów, wyrażenie „muzyka symfoniczna polska“ dla umysłów zimniej myślących, była definicyą rzeczy jeszcze nieistniejącej. To, co przybierało samowładztwo tę nazwę, było owocem tylko dobrych chęci i zbytelnego zaufania w swej sile: myśli i siły do wypełnienia tak wielkiego zadania zupełnie brakowało. Był to peryod panowania muzyki kapelmistrzowskiej. Minał on niepowrotnie, jak i kadzidla sławy jego przedstawicieli.

Epoka współczesna odznacza się dążnością do szczerzej pracy i zamięłowaniem w niej. Doświadczenie wydobyło nas z krainy marzeń, w której nieudolność trzymała nas w zbyt długiej niewoli. Na każdym polu wiedzy i sztuki imiona polskie dosięgają wyżyn, na których od dosyć dawnego czasu rzadko przebywały. Na niwie muzycznej spotykamy się z imieniem Zygmunta Noskowskiego. Imię to, pierw w nim u nas dobiło się jakiegokolwiek znaczenia, na obczyźnie zostało należycie ocenione i spożytkowane. Niemcy niezbyt chętnie przyczyniają się do uznania przedstawicieli obcych narodowości — talent jednak Noskowskiego przełamał tę zapórę. Jest to jedyny w prawdziwym znaczeniu tego słowa twórca-muzyk polski w obecnym czasie. Mamy już cały szereg jego dzieł, dzieł nie drobiazgowych, lecz wielkich treścią i formą. Uwertura *Morskie Oko*, dwie symfonie, parę kwartetów smyczkowych, kwartet fortepianowy, waryacje i wiele innych rzeczy o muzyce naszej symfonicznej i kameralnej ironicznie wyrażać się już nie pozwalają. Dzieła te są wynikiem umysłu wyższego, szlachetnego, drgają przytem tętmem temperamentu czysto polskiego. Do wszystkich cech narodowych, dodaje on świetną technikę: we władaniu środkami — nauka muzyczna nie ma dla niego tajemnic. Treść muzyczna tych prac nie posiada cechy roboty li tylko specyficznie muzycznych — nie, każde dzieło jego jest muzycznym poematem. Gdy słuchamy jego symfonii elegijnej (Nr. 2 C moll), mimowoli w umyśle naszym dźwięki te odzwierciadlają smutne losy niedalekiej przeszłości, wszystkie duchowe czynniki naszej współczesnej pracy, wypiewane są w niej z plastycznością eposu. Więc praca, opromieniona nadzieją zwodniczą nieraz, lecz zawsze nadzieją, więc myśl o tych, których już nie zna, żal za nimi, nareszcie ciężka droga ku lepszej

przyszłości — wszystkie te uczucia w potężnej pieśni tego dzieła wyrażone, muszą znaleźć oddźwięk w sercu nieobojętnego, wrażliwego słuchacza. Doprawdy, za tyle głębokich wrażeń, za pomocą tak nikłej napozór sztuki, jaką się wydaje muzyka, nie tylko szczerzy okłask, lecz częściej prawdziwa twórcy należy się. Wobec fantastyki dzieł sztuki współczesnej, dzieło to ożywczo wyróżnia się potęgą uczucia, czystego i wzniosłego jak wszystko, co odczuwa i ceni cierpienia nieszczęśliwych.

Było dla nas obowiązkiem, zwrócić uwagę czytelników naszych na tego artystę i jego dzieła. Znamy go z działalności dyrektorskiej zaszczytnie, niechaj znajomość i cześć dla jego dzieł będzie dowodem, że rozumiejących go i odczuwających wśród nas niebrak. Zapewne, że nie będzie cieszył się kurjerkową sławą wśród umysłowego pospólstwa, dla którego jest zbyt poważnym — dla miłośników ojczystej sztuki stanowić on będzie ognisko, ku któremu z ufnością zwracać się będą wszyscy, szczerze i poważnie o sztuce ojczystej myślący.

S. C.

HISTORIA WŁOŚCIAN FRANCUSKICH.

II.

Historia tych przewrotów i stosownie do czasu układających się stosunków w życiu włościan francuskich zamierzył przedstawić w ostatniej swej pracy p. Karejew, mianowicie od zawojowania Galii przez Juliusza Cezara aż po ostatni termin emancypacji ludu a mianowicie po rok 1789. Wszelako, jak słusznie zaznacza w swej przedmowie, dzieje włościan francuskich mają donioślejsze, bo ogólnie cywilizacyjne znaczenie. Jak Bukle kreślił historię cywilizacji angielskiej w obrazie cywilizacji powszechnej, jak Guizot wybrał sobie historię Francji dla szerszych ogólnoludzkich wywodów, podobnież studya historyczne prof. Karejewa nad stosunkami włościan francuskich, w rozmaitych epokach społeczno-politycznych, mają doniosłe znaczenie dla powszechnej historii ludności starego świata. „W historii włościan francuskich znajdujemy odbicie epok, które przeżyli rolnicy innych krajów Europy. Tutaj najprzód rozwinął się system feudalny. Tutaj, na gruzach feudalnego ustroju, powstała absolutna monarchia, jakiej nie wykazują nam dzieje na zachodzie od czasu upadku cesarstwa rzymskiego. Tutaj ozwało się pierwsze hasło oswobodzenia rolnika na stałym ładzie Europy w czasach wojowniczych. To, co dokonywało się w innych krajach Europy, spełniło się we Francji wcześniej i można powiedzieć wszechstronnie. We Francji połączyły się z sobą te wszystkie pierwiastki, które w innych krajach objawiają się oddzielnie, a stąd niedogodności są dla studyów w zakresie wzajemnego oddziaływania na siebie. Nareszcie, nie trzeba zapominać, że terytorium dawniej Galii było głównym polem walki rzymskich i germańskich pierwiastków, z których powstała cywilizacja średniowieczna, a to, co się tu wytworzyło, przenosiło się w dalekie okolice Europy, w miarę tego, jak one wchodziły w skład monarchii Karola Wielkiego. W Niemczech i we Włoszech np. stosunki włościańskie zaczęły odróżniać się od sytuacji włościan francuskich dopiero od połowy XII wieku.“

Zdaniem naszym, stanowisko włościan w czasie i miejscu rozpatrywanym być może i powinno z trojakiego punktu widzenia rzeczy, a mianowicie prawnopanstwowego, socjalno-politycznego i ekonomicznego. Chociaż praca p. Karejewa jest głównie badaniem historycznym, to przecież poli-

ezoną być może do szeregu dzieł, usiłujących wykazać ścisłą łączność faktów historycznych z ekonomicznymi objawami danego społeczeństwa. Widnieje z niej bowiem oczywiście, że cały szereg ekonomicznych warunków decydował o prawnym stosunku włościanina do zagospodarowanej przez niego ziemi, a samemu o społecznym i państwowym stanowisku tej licznej warstwy narodu. Tym stosunkom zmienianym się potrzeb ekonomicznego bytu zawdzięczamy cały zastęp rozmaitych stopni zależności człowieka od człowieka i człowieka od zagospodarowanej przez niego ziemi.

Nie możemy tu szczegółowo przedstawić losów włościanstwa francuskiego. Pragniemy jedynie zaznaczyć ogólne cechy położenia społecznego tej warstwy narodu w rozmaitych epokach wobec przewrotów politycznych i gwałtownych, jakim podlegał naród francuski od czasu upadku cesarstwa rzymskiego aż po dzień oswobodzenia ludu i równouprawnienia wszystkich stanów. A przede wszystkim, jak to już wyraziliśmy wyżej, chcemy szczególnie podnieść ten wpływ stosunków ekonomicznych na los włościan francuskich, który niedość może specjalnie uwzględnił wspomniany przez nas autor, tak w cytowanym powyżej, jak i w swem poprzednim dziele, wydanem w Moskwie w 1879 r. p. t.: „Krestijanie i Krestijanskij wopros w posledniej czetwerti XVIII wieku.“

Historia włościan francuskich do wielkiej rewolucji 1789 roku przedstawia się jako nieprzerwane pasmo ucisku i przygnębienia, którego doznawała nader liczna warstwa narodu ze strony klas uprzywilejowanych. Zmieniała się forma ich zależności, zmieniał się nawet stopień, w jakim się ów ucisk objawiał, zmieniały się osobistości, którym włościanin podlegał, ale los chłop francuski pozostał zawsze jednakowo oplakania godnym. Szarpano się o przywileje, toczono zawziętą walkę, której kosztą chłop podwójnie opłacać musiał. Ścierające się, częstokroć nawet w krwawym boju, żywioły niszczyły niemiłosiernie byt pracującej klasy rolników, a następnie wygrywająca strona starała się co najprędzej zużytkować zwycięstwo dla swego odzyskania poniesionych wydatków i zapewnienia sobie spokojnego bytu kosztem zwalania ciężarów państwowych i prywatnych na barki włościanina. Zarówno wojna jak pokój ciążył na ramionach tego, który pracował nad produkcją najniezbędniejszych środków egzystencji ludzkiej.

Również nieznaną jest historia średniowiecznych wojen, których pierwszą zasadą było burzyć sioła i ciemiężyć spokojną ludność wiejską, osiadłą na przeciwnika gruncie. Jeżeli społeczność średniowieczną przedstawimy sobie jako zlepek terytoryalnie i politycznie niezawisłych jednostek, z których każda prowadzi politykę własną, wypowiada wojny i zawiera pokój, władzę sądownictwa i nieograniczonego nakładania podatków posiada, wtedy zrozumiemy te ciągle i nieustające najeźdy sąsiedzkie, których ofiarą padał zawsze francuski chłop. Pod koniec wieków średnich, spotykamy bezustanne starcia żywiołów społecznych, w których włościanie, bezpośredniego niebiorąc udziału, największe ponosili straty. Tu należy walka emancypacyjna ludności miejskiej z roziągającymi nad nią swe prawa średniowiecznego feudalizmu, z możnowładcami wiejskimi; tutaj zaliczyć wypada owe kolosalne skutki starcia się władzy monarchicznej, królewskiej z możnowładztwem i dążność ześrodkowania władzy państwowej w ognisku absolutyzmu rządowego. We wszystkich tych bojach chłop francuski zachowywał się biernie. Obojętnym mu było, kto stanie na stanowisku uprzywilejowanym, z którego gonadal wyzyskiwać będzie. On jeden nie albo stosunkowo bardzo mało mógł zyskać i rzeczywiście nie zyskiwał.

Przeciwko niemu zwracał się każdy, kto stanowisko odpowiednie ku temu w kraju zdobyć i zająć zdołał. Klasa społeczna, czy osobistość panującego, jednakowo, zgodnie z ówczesnymi pojęciami, na podstawie wyzysku pracy ludności wiejskiej opierała przyszłość swą i był obecny. I duchowieństwo, które w pewnych epokach posiadało znakomite obszary ziemi, uprawiane przez włościan, nie zaniedbuje stosować się do powszechnie panującego zwyczaju, a częstokroć ucisk chłopów w dobrach i jurysdykcjach duchownych przewyższał wszystko, na co się tyran wiejski zdobyć potrafił. Nawet gminy miejskie, z chwilą gdy potrafiły, po części z pomocą włościan, oswobodzić się z ciężkiej zależności od możnowładztwa, a wskutek tego posiadały władzę terytoryalną nad gruntami gminnymi i ludnością na nich pracującą, nie szczędziły ucisku klasie pracujących włościan.

Z tego też powodu cały przeciąg kilkunastu wieków wypełnił się skargami ucieszonego chłopstwa, których nikt nie słuchał, a które jedynie w zmieniających się warunkach ekonomicznych gospodarstwa wiejskiego ulgę znaleźć mogli w rzeczywistości tam ją znajdowały. Stąd historia owych czasów stanowi nieprzerwane pasmo powstań i buntów włościańskich, znanych pod rozmaitemi nazwiskami i w znacznej części wcale do historii nie zapisanych. Ruch ten atoli, za każdym silniejszym objawem bywał krwawo stłumiany i nigdy na poważniejsze rezultaty rachować nie mógł. Przeciwko włościanstwu bowiem wszystkie klasy społeczne zawsze wystąpić były gotowe. Występowały one też zbiorowo i systematycznie, podczas gdy włościanom, z natury terytoryalnego rozproszenia, jak również i niższego stopnia oświaty, zawsze na zdolnych przywódcach i dokładnem porozumieniu się całkowicie zbywało.

Ani przyjęcie chrześcijaństwa, ani nowy pierwiastek indywidualizmu przez germanów na grunt rzymskiej cywilizacji przeniesiony, nie zdołał polepszyć losu niewolniczo pracującej ludności. Decydującym tu jedynie był systemat zagospodarowania ziemi i wynikający stąd stosunek prawny, w jakim ona pozostawała do narodu.

Historia wykazuje nam też dokładnie przewroty, jakie dokonywały się w tym kierunku. Pierwotny rzymski systemat zagospodarowania ziemi za pośrednictwem niewolniczej pracy, upadł sam przez się z chwilą utworzenia ich latifundiów, czyli nagromadzenia się znacznych obszarów ziemi w prywatnych rękach patrycyuszów rzymskich. Wygodna polityka rzymian, którzy starania około roli w pewnej miarze pogardzili, a przede wszystkim pragnęli spokojnie używać cywilizacji starożytnej wielkiego grodu, nie omieszczała wymyśleć sposobu zastąpienia pracy niewolniczej, wymagającej ustawicznego i uciążliwego dozoru. Wszelako gonienie za wygodą nie było ani jedyną, ani najważniejszą przyczyną reformy stosunków rolnictwa. W społecznym rozwoju rzymian nastąpiła chwila, w której niewolnicza praca mała, jakościowo posiadająca wartość nie wystarczała na zaspokojenie najgwałtowniejszych a coraz się rozradzających potrzeb, wzrastających w liczbę narodu. Tak więc jego stosunek konieczny do przestrzeni zamieszkałej i pod uprawą zajętej ziemi, łącznie ze stopniem cywilizacyjnego rozwoju człowieka stanowiły tutaj o przejściu do bardziej intensywnego zagospodarowania ziemi. Z ekonomicznej przeto konieczności głównie powstał ów systemat kolonatu, polegający na obsadzeniu ziemi ludźmi rozmaitego pochodzenia, którzy do gruntu przywiązani, razem z nim własność prywatną stanowiąc, na korzyść prawie wyłączną właścicieli go wyzyskiwali. System ten przywiązania do ziemi (*glebae adscripti*), był szczególnie

w prowincjach, a więc i Galii obszernie zastosowanym i odpowiadał germańskim obyczajom wyzyskiwania ziemi. Z tego też powodu przetrwał on w zmienionej formie aż do czasów wielkiej rewolucji francuskiej i rozpowszechnił się w całej prawie Europie. Któż z nas nie pamięta jeszcze tych czasów, gdy posiadłości ziemskie na dusze lub chaty obliczano, a tego wieku dożyło u nas prawo, pozwalające ścigać przemocą sprowadzać uchodzącego z gruntu włościanina. Tym sposobem, wskutek zmieniających się warunków ekonomicznego bytu a z nimi i systematu zagospodarowania ziemi, zmienia się i stosunek podległości włościanstwa. Zależność człowieka od człowieka przybiera charakter zależności bezpośredniej rolnika od zagospodarowanej ziemi. Jest on jej niewolnikiem i nie może opuścić jej bezwzględnie.

Zapominać nie trzeba, że z chwilą upadku cesarstwa rzymskiego pasmo starożytnej cywilizacji przerywa się a stąd i kształtowanie się stosunków wstępuje w okres zastoju. Temu to przypisać należy, że system kolonatu, jako przejściowa forma utrzymał się tak długo i pod rozmaitą wprawdzie postacią, dotrwał aż do najnowszych czasów.

Z chwilą feudalnej organizacji państwa, gdy władza państwowa, od króla w ręce dumnych przechodzi wasali, wtedy i los włościan pogarsza się znacznie. Brak opieki państwowej staje się wówczas przyczyną, że wielu wolnych nawet ludzi ucieka się pod opiekę możniejszych; oddając na własność prawną, posiadaną przez siebie ziemię, stają się doczesnymi jej posiadaczami, zależnymi czynszownikami, w zamian za gwarantowaną im opiekę przeciwko uciskowi zewnętrznemu. Zresztą, była to epoka gwałtów, w której nawet wspólna własność gminna rozchwiała się na korzyść praw możnowładczych.

To powolne przechodzenie wspólnych gruntów gminnych na własność prywatną, możnowładców z jednej strony, a wydziedziczenie z ziemi zwyciężonej ludności przez zwycięzców z drugiej, obserwować możemy, studiując historię panowania anglików w Irlandyi... Jak zaś wielkie obszary przeszły w ręce możnowładztwa przez powolne zajęcie wspólnych gruntów gminnych, świadczy ten fakt, że wedle Tacyty systemat gospodarstwa germańskiego polegał przeważnie na wspólności gruntowej. Proces przechodzenia tych gruntów w ręce prywatne dokonywał się w dwojaki sposób. Albo możnowładca przyległy przemocą rozciągał swe pretensje, najprzód formalne (jurydykę, prawo pobierania danin i t. p.) a następnie na podstawie średniowiecznej zasady *nulle terre sans seigneur* uważać się zaczęli za prawnych właścicieli. Czasami wszelako jeden z członków gminy wyrastał po nad głowy innym i już to za ich zgodą, już to bez niej stawał się prawnym posiadaczem ziemi i protoplastą nowej możnowładczej rodziny. W pierwszym razie przyjmował na siebie obowiązki interesów gminnych na zewnątrz. Ciekawym jest też stosunek służebności gruntowych coraz więcej zajmowanych bezprawnie a stąd wogóle podział pierwotkowo równych sobie włościan na posiadaczy ziemi i bezziemnych czyli żyjących z wyrobku, którym służące służebności w rodzaju wspólnego pastwiska przypadły choćby z podziału tych przestrzeni. Wprawdzie włościanie zpoddańszczeniu nie zrywają węzłów solidarności a nawet wykazują przykłady łączenia się w pewnego rodzaju korporacje, dla zapobieżenia niedo godnościom prawa, czyniącego właściciela prawnego ziemi jedynym spadkobiercą włościanina. Takie stowarzyszenia przedstawiały osobę moralną, prawną, która sama w sobie się odradzała i solidarnie powinności wobec prawa i państwa gwarantując, miała trwałą nadzieję utrzymania

się przy posiadanej ziemi. Wogóle widzi-
my ciągłą dążność wykształcenia się sy-
stemu dzierżawnego, stosownie do epok
czasu z krótko lub długo trwałym termi-
nem.

Ostatecznie stany jeneralne, zwołane
przez Ludwika XVI, zastały stosunki
włościańskie w najbardziej opłakanym
stanie, jak o tem świadczą *cahiers* czyli po-
lecenia dawane posłom przeważnie stanu
trzeciego. Jak trudnem było położenie
chłopów, świadczy ta okoliczność, że na-
wet rewolucya francuska bez porównania
mniej radykalnie rozwiązała kwestyę wło-
ściańską, niż wszelkie inne zadania so-
cjalnego ustroju. Włościanin bowiem miał
zawsze przeciwko sobie wszystkie stany,
które tylko niechętnie zezwalały na jakies-
kolwiek dla niego ustępstwa. Kwestyą też
włościańską mało gdzie dziś w Europie
widzimy rozwiązana. Tradycya traktowa-
nia po macoszemu włościan przetrwała
do dzisiaj, gdzie chłopu nawet jedyna dro-
ga odwołania się do opinii publicznej jest
utrudniona, ponieważ prasa w widokach
materiałnych gotowa jest zawsze popierać
interesa inteligencji, z której żyje. Z dru-
giej strony konserwatyzm włościan jest
tak wielki, że oni ostatni ustąpili z placu
walki za upadły porządek przeciwko tym
prawom, które ich w grono obywateli sa-
me jedne wprowadzić były w stanie.

Historia przeszłości włościan stanowi
niewyczerpane źródło obserwacji i z tego
powodu dzieła specjalne w rodzaju powy-
żej wymienionego stanowią wyborny ma-
teryał dla historycznej szkoły ekonomi-
stów, której przyszłość jest zapewniona
w nauce. Żałować jedynie wypada, że
przeszłość naszych włościan nie znalazła
dotychczas tak gruntownego historyka,
jakim p. Karejew jest dla włościan fran-
cuskich.

F. O. Wilkoński.

W PERSPEKTYWIE.

Zaledwie ucichły wieści o pożarach w ro-
zmaitych okolicach kraju a znów mamy
do zanotowania fakt zniszczenia przez
ogień miasta Krzepic, z którego ocalała
jedna tylko ulica i kościół. Czyż klęski te,
ustawicznie kraj trapiące nie wyrwą nas
z apatyi i nie skłonią do przedsięwzięcia
środków, zapobiegających działaniu ni-
szącego żywiołu, przez tworzenie straży
ogniowych ochotniczych, i stosowanie ra-
cyonalniejszego systematu budowlanego.
Przy istnieniu stosownych środków ratun-
kowych, skutki pożaru bez wątpienia
w większości wypadków byłyby o wiele
mniej dotkliwe. Miejscowości niektóre pe-
ryodycznie są przez pożary niszczone, a je-
dnak wszystko w nich zostaje po dawnemu;
w razie pożaru niema komu i niema czem
ratować. Kiedyż wreszcie nie ta apa-
tya?

Pora obecna, stanowiąca sezon kąpielo-
wy, daje nam sposobność peryodycznego
narzekania na wadliwy stan niektórych za-
kładów leczniczych krajowych. Spotykamy
się z często powtarzanymi zarzutami co do
niedbalstwa w urządzeniu zakładu w Cie-
chocinku, którego zarząd, jak to wniosko-
wać się daje z corocznie powtarzanych
skarg, stara się robić co może dla odstře-
żenia publiczności od uczęszczania do zdro-
żowisk krajowych. Korespondencye zamie-
szczone w ciągu ubiegłego tygodnia w *No-
winach* z Ciechocinka i Nałęczowa nie zbyt
pochlebnie charakteryzują działalność za-
kładów kąpielowych krajowych i przypo-
minają historję o tabakierce i nosie.

Ukazują się też jednak na horyzoncie
wypadków bieżących rzeczy bardziej po-
cieszające. Utrudniony przystęp do szkół
rządowych pobudza mieszkańców miast
prowincjonalnych do zaradzania złemu.
Staraniem kilku obywateli (Tadeusza Lu-
bomirskiego, Jana Bersona i Antoniego
Domańskiego) powstała szkoła trzykloso-
wa w Grójcu z programem szkół miejskich.
Mieszkańcy Wielunia podjęli staranie ce-
lem zyskania pozwolenia na założenie pro-
gimnazjum czteroklasowego, Lublin zaś
krząta się około założenia gimnazjum re-
alnego. Może działalnością w tym kierun-
ku dadzą się rozszerzyć zdrowe pojęcia i
uczynią się niemożliwymi, wydarzające się
tu i owdzie fakta nieprawdopodobne, ale
niestety prawdziwe, stawiające nas w dzi-
wnem świetle wobec wieku cywilizacji i
postępu. Może wówczas staną się niemo-
żliwymi wypadki w rodzaju tych, który
opisuje korespondent *Nowin* z Radomia,
gdzie honoratarios miejscy wbrew prote-
stowi proboszcza nie chcieli przyjąć skła-
dki na odbudowanie uszkodzonej wieży ko-
ścielnej od R. B. dlatego, że tenże jest ży-
dem i w którym to grodzie przy założeniu
stowarzyszenia kasy pożyczkowej dla prze-
mysłowców, nie zaproszono przemysłow-
ców... żydów. Fakt taki pobudza tylko do
często już lecz bynajmniej nie zbyt często
powtarzanego wykrzyku Goethego: „świa-
tła, więcej światła.“

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 24 sierpnia

Naród francuski wydał więc wyrok
ostateczny o swoim ustroju politycznym
na przyszłość. Wybory do nowej Izby de-
putowanych świetnie stwierdziły ostate-
czne i stanowcze ugruntowanie rzeczy-
spolitej a zarazem zamarkowały wyraźnie
jej kierunek umiarkowanie postępowy,
którego program w ostatnich mowach
swoich nakreślił Gambetta. Prezes byłej
Izby a jak się zdaje przyszły prezes gabi-
netu odniósł zwycięstwo w swoim okręgu
wyborczym Belleville, przeciw do ostate-
cznych wysiłen posuniętej opozycji nie-
przejednanych czyli komunistów. Wię-
kszość otrzymana tu przez Gambettę była
wprawdzie bardzo nieliczną, jeśli wszakże
zważy się, że to zwycięstwo odniesione
w okręgu o ludności oddanej w bardzo
znacznej części skrajnym zasadom było
poniekąd ogniową próbą, to można go
w każdym razie powinszować zwycięzcy.
Głosowanie w Belleville samo przez się
nie dodało jednak blasku osobistości exdykta-
tora, ale powaga, wpływ i znaczenie jego
wobec rozpoczynającej się teraz nowej do-
by politycznego rozwoju Francji silnie
stwierdzone zostały przez ogólny wynik
wyborów, który wprowadza do Izby stron-
nictwa ściśle gambettystowskie (unia re-
publikańska) w poczcie znakomicie wzmo-
cnionym. Koniec końców, Gambetta utrzy-
ma się na wysokości sytuacji, poważna
większość narodu dała mu na wyborach
wotum zaufania a głos opinii publicznej
domaga się teraz, aby osobiście objął ster
spraw państwa jako prezes ministrów.
Ogólna charakterystyka wyborów przed-
stawia się jako ogromne zwycięstwo re-
publikańców a klęska obu skrajnych skrzy-
deł t. j. zarówno monarchistów jak intra-
sigentów, czyli komunistów. Ta ostatnia
okoliczność zasługuje na podkreślenie tem
bardziej, iż okazało się, że Paryż bynaj-
mniej nie jest tak radykalnym, jak to gło-
szą zawsze apostołowie nieprzejednani. Za-
den kandydat socjalistyczny nie przeszedł
w stolicy, która zaledwie kilku członkom
lewicy skrajnej udzieliła mandatów posel-

skich. Szczegółowa statystyka wyborów
przedstawia się tak: Na 548 okręgów wy-
bierających posła (łącznie z Algeryą) do-
konano ostatecznie 483 wybory, zaś w 65
okręgach żaden kandydat nie otrzymał
bezwzględnej większości głosów, a przeto
odbędą się wybory ściślejsze w dniu 4 wrze-
śnia. Dziś więc można klasyfikować szcze-
gółowo tylko owych 483. Znajduje się
w ich liczbie 364 dawnych posłów wybra-
nych ponownie, a mianowicie 303 z lewicy
i 61 z prawicy; reszta wybranych nie nale-
żała do byłej Izby. Ogółem wybrano 398
republikanów wszystkich odcieni, rojali-
stów zaś i bonapartystów łącznie 85. Re-
publikanie pozyskali 54 okręgi, z których
dawniej 14 wybierało rojalistów, 27 bona-
partystów, 13 zaś jest nowych okręgów.
Z drugiej strony bonapartyści zdobyli 2 a
rojalisci 7 okręgów, które reprezentowane
były dotąd przez posłów republikańskich.
W ten sposób czysty przyrost mandatów
republikańskich odebranych reakcyi wyno-
si 45. Dwa okręgi odebrali bonapartyści
legitymistom. Wybrani dotychczas w li-
czbie 398 republikanie rozpadają się na
poszczególne grupy w stosunku następu-
jącym: lewy środek 41, lewica 159, unia
republikańska 170, skrajna lewica 28.

Wobec wyborów francuskich wszystkie
inne sprawy polityczne zeszły na drugi
plan, a nawet kronika ubiegłego tygodnia
nie zapisała donioślejszych wypadków.
Wspomnieć tylko należy, że idea przyłą-
czenia się Włoch do przymierza austro-
niemieckiego zaczyna przybierać kształty
nieco pewniejsze. Podróż króla Humberta
do Wiednia i Berlina jest podobno bliską
ureczywistnienia, a to byłby widomy znak
dokończonego porozumienia.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Na ostatniem posiedzeniu zarza-
du kas rzemieślniczych warszawskich p. Makowiecki
przedstawił budżet ich dochodów i rozchodów, który
bez zmiany zatwierdzonym został.

— Według wykazu statystycznego departamentu le-
karskiego w Cesarstwie i Królestwie polskiem znajduje
się lekarzy 13,869, weterynarzy 1,685 dentystów 381,
apteki 1,933.

— Sąd okręgowy moskiewski przygotował do osą-
dzenia kilka nowych procesów politycznych.

— Związek gmin żydowskich w Stanach zjednoczo-
nych postanowił zebrać 500,000 dolarów na zapomogi
żydom emigrującym do Ameryki.

Przemysł i handel. Bank polski powiększył zna-
cznie kredyt swej filii bankowej w Łodzi, głównie na
skutek starań tamiecznych fabrykantów.

— W Petersburgu w zarządzie naczelnika miasta
urządzono wydział fabryczno-przemysłowy, mający na
celu nadzór nad fabrykami i zakładami fabrycznymi po-
dobno w celu zachowania bezpieczeństwa publicznego.

— Na Szlasku górnym budują nową kolej elektry-
czną mającą przewozić węgiel z kopalni Concordia.

— Dochody celne Państwa rosyjskiego w pierwszym
półroczu r. b. wyniosły rs. 33,595,288 czyli o 11,350,031
rs. mniej aniżeli w tymże czasie roku poprzedniego.

Literatura niemiecka. Bäuml. *Der sogenannte ani-
malische Magnetismus oder Hypnotismus.* Leipzig.

— Herman, *Experimentelle und casuistische Studien
über Fracturen der Schädelbasis.* Dorpat.

— Karpiński. *Studien über die künstlichen Glieder.*
Berlin.

— Krukenberg. *Vergleichend-physiologische Studien.*
Heidelberg.

— Lechner. *Zur Pathogenese der Gehirnblutungen
der metischen Frühformen.* Wien.

— Rathke. *Ueber die Prinzipien der Thermochemie
und ihre Anwendung.* Halle.

— Munk. *Physiologie der Menschen und der Säugethiere*. Berlin.

— Prowe. *Copernicus als Arzt*. Halle.

Literatura francuska. Chambard. *Du somnambulisme en général*; nature, analogies, signification nosologique et étologique. Paris.

— Chrétien. *Nouveaux éléments de médecine opératoire*. Paris.

— Marvand. *Le sommeil et l'insomnie, étude physiologique*. Paris.

— Pierre. *L'école sous la révolution française. Les amours du pape Pie IX.*

— Couteau. *Traité des assurances sur la vie*, doctrine, législation, jurisprudence. Paris.

— De Folleville. *Leçon d'introduction à un cours de droit international privé*. Paris.

— Blavier. *Des grandeurs électriques et de leur mesure en unités absolues*. Paris.

— Castigliano. *Théorie de l'équilibre*, des systèmes élastiques et ses applications. Turin.

Literatura angielska. Lowis. *Familiar indian flowers*. London.

— Wainwoigt. *Scientific Sophismus*, a review of the current Theories concerning Atoms, Apes and Man. London.

— Day. *On the diseases of children*. London.

— Flagg. *Plastic and plastic Fillings*, as pertaining to the Filling of all Cavities of Decay in Teeth below Medium in Structure, and to difficult and inaccessible Cavities in Teeth of all Grades of Structure. Philadelphia.

— Hargis. *Yellow Fever, its Ship, Origin and Prevention*. Philadelphia.

— Jacobi. *Use of the cold Pack*, followed by Massage in the Treatment of Anaemia. New-York.

— Martin. *The human Body*. New-York.

— Merkel. *Fibroid Tumours of the Uterus and Ovaries*. Boston.

— Otis. *Clinical Lectures on the physiological Pathology and Treatment of Syphilis*. New-York.

— Roberts. *Detection of Colour Blindness and imperfect Eyesight*. London.

— Hall. *Aspects of german culture*. Boston, str. 320.

— Pierce. *Treatise of the law of railroads*. Boston

— Gentry. *Illustrations of Nests and Eggs of birds of United States*.

— Gordon. *Lecture on static electric introduction*. New-York.

Literatura włoska. Garelli della Morea. *Il quarto stato*, studio sulla quistione sociale. Torino.

— Martino. *Della ingerenza dello stato nei fatti economici*. Torino.

— Ratazzi. *Discorsi parlamentari* raccolti e pubblicati per cura di G. Seovazzi. Roma.

— Zanoni. *Studio di caratteri nazionali*. Milano.

OGŁOSZENIA.

KSIEGARNIA

Nakładowa Bernarda Lesmana.

F. A. LANGE.

HISTORYA FILOZOFII

MATERYALISTYCZNEJ

tlomaczenie

FELIKSA JEZERSKIEGO,

ósmy zeszyt opuścił prasę.

Treść: Siła i materya (dokończenie). — Kosmogonia przyrodnicza. — Darwinizm i Teologia.

Nakładem tejże firmy wyszły i są do nabycia we wszystkich księgarniach **Jul. Petersena Metody i Teorye**, rozwiązywania zadań geometrycznych konstrukcyjnych, tlom. z niemieckiego Dr. Karol Hertz, Cena kop. 60.

2—1

WYPISY POLSKIE

ulożone przez

Adolfa Dygasińskiego

część niższa wyszła nakładem wydawnictwa

Bernarda Lesmana.

Cena kop. 45.

2—1

KWESTYA POLSKA

W LITERATURZE ROSYJSKIEJ

M. Pypina

przekład z rosyjskiego.

DODATEK BEZPŁATNY DO

PRAWDY.

Abonenci nowi, którzy pragną go nabyć, płać rs. 1. Z powodu zastosowania nakładu tej książki do ilości egzemplarzy *Prawdy*, nieabonentom naszego pisma sprzedawać jej nie możemy.

Zyto Trzcinowe oryginalne z Bawaryi (Schilffroggen).

Odmiana ta, od lat dwóch pierwszy raz przez nas do kraju z ogromnem powodzeniem wprowadzona, i w tym roku świetnie dała rezultaty.

Z wielkiej ilości otrzymanych świadectw wymieniamy kilka:

W-ny K. Sliwowski w Skord-jowie p. Dorochusk pisze: „W odpowiedzi na list z 21 lipca donoszę, iż **żyto trzcinowe** dało świetny rezultat, a mianowicie z wysianego korca na dwóch niespełna morgach, zebrałem kóp małej wiezi 36 — kopa daje celnego zboża trzy ćwierci a średniego garncy 5, nielicząc posładu, w ogóle można na pewno liczyć przeciętnie 28 garncy z kopy.“

W-ny Zygmunt Kutz z Otwocka donosi: Z zasianych 600 prętów **żyta trzcinowego** zebrałem kóp 14 (siew był rzędowy po 10 1/2 garncy na 200 prętów). Sioma i kłos były o 50% obfitsze niż żyta Dubeltowej Krzycy Hiszpańskiej i Probsztajskiego.

W-ny Leon Walewski z Żabiej Woli p. Grodzisk donosi: Nabyte u panów **żyto trzcinowe** z dwóch korcy zasianych wydało kóp 26. Probsztajskiego z pięciu zasianych korcy zebrano 54 kóp. Po wymłóceniu nie omieszkać donieść więcej szczegółów. Jednak żyto trzcinowe uważam za lepsze, gdyż było zasiane w gorszych warunkach, to jest na gruncie piaszczystym po sprzątnięciu łubinie, a jednak ze wszystkich moich gatunków okazało się najwyrósłjsze i wydało najwięcej kóp. Wysokość słomy dochodziła do sześciu stóp.

W-ny Bobrownicki z Mikołajewie p. Lutomirsk donosi: **Żyto trzcinowe** zasiałem w ilości korcy dwóch na przestrzeni mórg 2 1/2 trzystoprętowych na gruncie sapowatym, piaszczystym, z natury zimnym, średnio mierzwiwym, siew dopełniony 20 września, zebrałem kóp 12 dobrej wiezi, złożone oddzielnie i wymłócone dało ziarna korcy 23 czystego, w porównaniu do innych gatunków jestem zupełnie zadowolonym, a sprowadzając różne gatunki żyta zauważyłem, że chociaż na lichej ziemi, żyto trzcinowe wydaje bardzo dobry plon i warte jest rozpowszechnienia.

W-ny Leopold Dobrzelewski z Radomska donosi: Otrzymany od panów korzec **żyta trzcinowego** wysiałem na dwóch morgach trzystoprętowych, sprzątnałem kóp 10, snopków 19. Kopa zaś wydała 2 korce 8 garncy. Zaręczę mogę, że na 200 włókach gruntów miejskich tak pięknie przedstawiającego się żyta nie było. **Ziarno jest daleko piękniejsze niż nadesłane mnie do siewu.** Żyto zostało wysiane w drugiej połowie września, na jednorazowej orce, w gruncie gliniasto-piaskowym.

W-ny Telesfor Tabaczyński pisze: Nabyty u panów korzec żyta trzcinowego zasiany był 16 września pod niezbyt dobrymi warunkami, po koniczyne nasiennej, na razowej orce i napłask na przestrzeni 2 mórgów, wydał 10 kóp i 30 snopków. Co do omlotu, kopa dała korzec jeden 20 garncy, czyli z jednego korca otrzymałem 16 korcy garncy 20.

W-ny K. Zieliński w Zamościu p. Brzeźnicę donosi: Sprowadzone od panów roku przeszłego dwa korce **żyta trzcinowego** zasiałem na gruncie żytym 2-jej klasy, na nawozie po garncy 24 na morgę 300-prętową. Otrzymałem w tym roku kóp 14, które wymłóciwszy mam żyta piękne-go do siewu korcy 29, pośledniego korzec jeden garncy 8.

Pierwszy transport żyta oryginalnego trzcinowego nadejdzie z Bawaryi około 15 sierpnia. Wczesne obstalunki pożądane. Cena oryginalnego żyta, worek wagi 245 funt., wynosi rs. 18 franco Warszawa.

Oprócz tego polecamy i przyjmujemy zamówienia na:

Żyto oryginalne: **Probsztajskie, dubeltowe Hiszpańskie, Corrensa, Kampińskie, Zeslandzkie i Szampańskie**, oraz te same odmiany produkeji krajowej i **Pszenicę Kostromkę**, oryginalną **Sandomierkę** i piaskową **Spalding Prolifę** w gatunkach wyborowych.

Wasilewski & Kaniewski

SKŁAD NASION W WARSZAWIE

Ulica Nowo-Senatorska, Nr. 5. Hotel Litewski.

3—3

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdym opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Sprostowanie. W numerze poprzednim, w artykule *Wolna szkoła*, szp. 3 w. 11 od dołu zam. *szkoły w Monge*, winno być *w szkole Monge*.